Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 39 (1827) • 26 września–2 października 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



LUFTWAFFE W OBRONIE POLSKIEGO NIEBA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 96305d9817

WOJNA DOMOWA

Prezydent Nawrocki pojechał na 80-lecie ONZ i wygłosił bojowy monolog. Jak zwykle mówił bardzo dużo o sowietach, bo to w końcu temat wybitnie aktualny – ale powiedział też coś, co nas głęboko zastanowiło: „Rosja po prostu nie porzuciła swoich imperialnych ambicji; jeden z moich wielkich poprzedników, świętej pamięci prezydent Lech Kaczyński, doskonale to rozumiał". Jeśli brat prezesa był „jednym z jego wielkich poprzedników" – to musi znaczyć, że byli też inni wielcy. Przypominamy zatem listę poprzedników Karola Nawrockiego na stanowisku prezydenta III RP: Wojciech Jaruzelski, Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński, Bronisław Komorowski, Andrzej Duda. Czy to jest ten jedyny w historii moment, kiedy ktoś nazwał Dudę „wielkim"?

W ONZ wystąpił też wicepremier Sikorski, który był strasznie zadowolony z siebie, bo rozmawiał z Ruskimi jak prawdziwy twardziel: zagroził zestrzeliwaniem rosyjskich samolotów, zabronił rosyjskim dyplomatom „skamlenia" w ONZ i zakończył złowieszczo: „Zostaliście ostrzeżeni". „Nie sadzę, żeby delegacji rosyjskiej się spodobało moje wystąpienie" – skomentował sam siebie Radek z iście brytyjską ironią. Jasne, Putin trzy noce nie spał ze strachu. Sikorski ogłosił też, że „wojna hybrydowa, którą Rosja prowadzi przeciwko Zachodowi od lat", objawia się w „morderstwach polityków, dziennikarzy, obrońców praw człowieka i dezerterów". Nie macie wrażenia, że Radek nadaje kolektywnemu narcyzmowi kolektywnego Zachodu całkiem nowy wymiar? Czy on naprawdę sądzi, że Rosja morduje własnych obywateli, żeby zrobić na złość jemu i jego kolegom z europejskich emeszetów? Radziu, nie we wszystkim chodzi o Ciebie.

Z kolei wicepremier Kosiniak-Kamysz rozczulił nas krótkim występem na temat różnic między Polską a Norwegią. I nie, nie chodziło o państwo opiekuńcze ani o największy fundusz emerytalny świata oparty o dochody z państwowych złóż ropy i gazu – tylko o transparentność. „Wczoraj Norwegia powiedziała o trzech naruszeniach przestrzeni powietrznej, które miały miejsce kilka miesięcy temu. Nikt nie mówi o jakimś zatajaniu, tylko przyjęli taką strategię. My przyjęliśmy strategię bardzo transparentną, ja to zmieniłem w grudniu 2023 r., i to przynosi efekty informowania wszystkich o wszystkim, co jest możliwe". W kontekście zeszłotygodniowej gównoburzy o to, że rząd przez siedem dni wmawiał obywatelom, że dach w Wyrykach zerwał ruski dron, aż prasa doniosła, że to jednak była polska rakieta, wystrzelona niecelnie przez polskiego pilota – chwalenie się „transparentnością" jest pomysłem dość kozackim.

NIK skontrolowała Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych finansujący militarne szaleństwo kolejnych rządów – i skonstatowała, że spłata pożyczek i wykup obligacji, wraz z odsetkami, będą kosztować 403 mld zł w ciągu dekady. Wpływy Funduszu w tym okresie zaplanowano na 46 mld. Do problemu odniósł się demon organizacji i racjonalnego wydatkowania środków publicznych, ekswicepremier Sasin: NIK jest „instytucją absolutnie skompromitowaną", a „po wrześniu 1939 r. stan polskiego budżetu mało kogo chyba w Polsce interesował". Taaa… Ta reakcja byłego ministra aktywów państwowych na informację o dziurze budżetowej wynoszącej 350 dużych baniek wiele tłumaczy, ze szczególnym uwzględnieniem wyborów kopertowych. Tylko co Sasin proponuje zrobić w razie, gdyby sprawy nie potoczyły się z punktu widzenia rządu tak korzystnie jak w 1939?

Dużo emocji wzbudziła nocna prohibicja w stolicy – a w zasadzie jej brak spowodowany rozgrywką między szefem warszawskiej PO Marcinem Kierwińskim a prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim, którego twardzi ludzie z Platformy już skreślili, bo teraz stawiają na Radka, co się Ruskim nie kłania. Jeśli chodzi o twardość, mają trochę racji: Trzaskowski okazał się totalnie miękką fają i z podwiniętym ogonem wycofał swój własny projekt prohibicji, a szef klubu PO w radzie Warszawy, radny Szostakowski, przyłożył mu jeszcze po głowie Jaruzelskim i Ku Klux Klanem. Naszą uwagę zwróciło jednak co innego. Otóż wspierająca zakaz fundacja Grow Space zorganizowała konferencję prasową, na której poinformowała o wynikach swojego sondażu: „liczby są alarmujące", albowiem „aż 64,22 proc. Polaków spożywało alkohol w czasie ostatnich wakacji, a, co więcej, blisko co piąty – bo 17,20 proc. – robił to przynajmniej raz w tygodniu". Zrozummy to dobrze: więcej niż trzech na 10 Polaków nie pije w ogóle, a ośmiu na 10 zdarza się coś chlapnąć, ale nawet nie w każdy weekend. Toż to naród abstynentów nam wyrasta!

I nie jest to jedyny dowód braku patriotyzmu, który wynika z ostatnich sondaży. IBRiS ustalił, że gdyby wybuchła wojna, 49 proc. Polaków nie planuje stawiać się do obrony kraju; wśród ludzi przed trzydziestką odsetek ten wzrasta do 69 proc. Wyniki tłumaczy niejaki Michał Kotnarowski: „Te wyniki nie są dla mnie alarmujące w tym sensie, że to pytanie jest tak sformułowane, że pytamy o to, czy ktoś zgłosiłby się na ochotnika. Jeżeli ktoś na to pytanie odpowiada »nie«, to wcale nie znaczy, że jeżeli dostałby wezwanie, to by się nie stawił. Nie cieszyłby się bardzo… Może jedni cieszyliby się bardziej, drudzy mniej, ale by się stawili". Dr Michał Kotnarowski to nie byle kto, bo narodowy koordynator projektu „Europejski Sondaż Społeczny" i jakże miło wiedzieć, że tak poważny uczony zachował świeżość optymizmu godny Polyanny. Ale merytorycznie ma rację: apelujemy do ośrodków badania opinii publicznej o przeprowadzenie sondażu, który zawierałby pytanie, ilu Polaków na wypadek wybuchu wojny planuje zdezerterować albo ukrywać się przed poborem. Miejmy nadzieję, że odpowiedzi nie będą zbyt szczere, bo premier Tusk, w swoim bojowym uniesieniu, może poczuć się osamotniony.

À propos bojowych uniesień: już po dwóch tygodniach rząd otworzył granicę z Białorusią – tę, której z okazji manewrów Zapad 2025 nie mogły przekraczać polskie tiry, ale rosyjskie drony i owszem. Przy okazji okazało się, że po stronie białoruskiej utknęła bliżej nieznana liczba polskich ciężarówek: rząd uważa, że 150, choć w elektronicznej kolejce granicznej było zarejestrowanych 1039. Przedstawiciele organizacji przewoźników oceniają, że oznacza to 200 mln zł w towarze i w pojazdach. W ramach aktu dobrej woli Baćka postanowił ich nie zarekwirować, choć w zasadzie mógł – przynajmniej te, które przebywały na Białorusi nielegalnie, bo skończyła im się wiza. Wójt gminy Terespol Krzysztof Iwaniuk mówi: „Zaczęli przyjeżdżać przedsiębiorcy, o co tu chodzi, bo nigdzie się nie mogli niczego dowiedzieć, nawet koleje chińskie przyjechały. Nie mieliśmy żadnego pojęcia: ile to będzie trwało, dlaczego to się stało, o co tu chodzi – przecież nie jesteśmy w końcu w stanie wojny ani z Rosją, ani z Białorusią". A gdzie patriotyzm u wójta?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Wrzesień 2013 r.

Świętego Davy

Pamiętacie, jak premier Tusk kuśtykał na usztywnionej nodze? Podobno był to skutek rzekomej kontuzji piłkarskiej. W rzeczywistości były to ćwiczenia przed nawiązaniem koalicji powyborczej z SLD. Tusk wie, że wicepremier Miller codziennie będzie mu podstawiał nogę lub kopał w łydkę.

Świętego Mathieu

Antoni Macierewicz kłamie, twierdząc, że w osobach jego ekspertów michnikowcy atakują polską naukę tak jak komuniści w roku 1968. A nawet dokonują „aktu terroru medialnego" i „papierowego zabójstwa". W pamiętnym roku 1968 atakowaliśmy antypolską naukę żydowską Baumana, Brusa, Modzelewskiego i Hartmana, który się wtedy jeszcze nie urodził. W 2013 r. prof. Bauman atakowany był za komunizm, w roku 1968 za antykomunizm. Oba sprzeczne ze sobą zarzuty są nieprawdziwe. Prof. Bauman jest baumanistą.

Świętego Autumna

Polityk narodowiec Zawisza, komentując w TVN 24 badania antysemityzmu w ojczyźnie, negował kryteria badawcze. On też uważa, że Żydzi trzymają ze sobą, mają szczególne wpływy w finansjerze itp., ale to są fakty nieprzesądzające o antysemityzmie. Zgadzam się z Zawiszą. Polacy dzielą się na filosemitów i żydolubów. Zwolennicy ostatecznego rozwiązania są w mniejszości i konspiracji, tj. w pochodach, internecie i na trybunach, z których ogląda się aryjskie mecze. Żydzi piłki nie kopią, tylko podkopy pod zdrową tkanką narodów.

Świętego Constanta

Z wywiadu udzielonego „Gazecie Wyborczej" przez Lecha Wałęsę wyziera sympatyczny, rozsądny człowiek. Gdyby takim był w 1980 r., moja niechęć do Solidarności może byłaby mniej zapiekła. Pójdę nawet do kina na „Wałęsę" Wajdy. Po premierze mówiono mi, że film marny, czyli oscarowy, ale warto iść dla Więckiewicza. Szkoda, że to nie Więckiewicz stanął na czele Solidarności i został prezydentem, Wałęsa zaś nie gra go teraz w kinie.

Świętej Tekli

Przez ubiegły tydzień telewizje zawracały nam głowę himalaistą, który zostawił kolegów, żeby się uratować, i tamci zginęli. Sądzę, że życie to jest coś najcenniejszego, co człowiek posiada, i nikt nie ma powinności poświęcania go dla innych, chyba że ci inni mają umrzeć z jego winy. Na szczyty Himalajów amatorzy wspinaczek wchodzą z własnej woli, z czego nic dla nikogo nie wynika. Bardziej cenią sobie wchodzenie i schodzenie niż własne życie. Wiadomo, że z ośmiotysięczników nie wraca większy odsetek wspinaczy, niż zginęło uczestników powstania warszawskiego. Znaczniejszy odsetek zgonów wystąpił wśród żołnierzy radzieckich walczących z Niemcami. Powstańcami warszawskimi byli ludzie działający pod presją otoczenia i z głupiego pojmowania patriotyzmu. Żołnierze radzieccy brani byli z poboru, walczyli pod presją i także z patriotyzmu. Zgon w Himalajach mniej godny jest współcześnie niż każdy inny rodzaj śmierci. Wystarczyłaby informacja, że ochotnicy popełnili samobójstwo. I nie ma o czym gadać.

Nadal świętej Tekli

Lubię i cenię homoseksualistów i zazdroszczę im, ale tylko w życiu realnym. W kinie mam ich już dosyć.

Świętego Hermana

Czytam książkę włoskiego reportera o globalnym handlu narkotykami. To bardzo twórcza i inteligentna praca, bardziej złożona niż polityka. Nie wiem, czy warto narkotyków używać, ale na pewno warto pracować na wysokim szczeblu narkobiznesu, chociaż płaci się za to śmiercią, rzadziej więzieniem. Szczegóły: Luca Rastello, „Przemytnik doskonały. Jak transportować tony kokainy i żyć szczęśliwie".

Świętych Cosmy i Damiana

W Nairobi byłem jakieś 10 lat temu. Potem leżałem na plaży w okolicy Mombasy i stamtąd motorówką popłynęliśmy w górę rzeki. Na prawym brzegu pomosty wbudowane daleko w bieg rzeki, boye do cumowania wystrojeni w liberie, muzyka. Na lewym brzegu zasieki z drutu kolczastego i wojsko. Żołnierze pilnują obozu dla dziesiątków tysięcy uciekinierów z Somalii. ONZ ich żywi, ale jego pracownicy nie wchodzą do obozu, bo to niebezpieczne. Papka do żarcia zrzucana jest z helikopterów.

Mijamy restaurację chińską, francuską, japońską, płyniemy do włoskiej. Od stolika widać zasieki i sylwetki strażników.

Dekadę wcześniej na stopniach czerwonego tramwaju dojechałem, nie wyskakując, do kapitalizmu. Rad obżeram się ostrygami po prawej stronie rzeki, a sercem i sumieniem jestem po lewej. Myślę o tym, kiedy głodni Somalijczycy obalą zasieki, zabiją strażników, przepłyną rzekę i wcisną nam do gardła ostrygi wraz ze skorupami. Coś takiego zdarzyło się właśnie w domu towarowym w Nairobi. Jako komunista jestem i po stronie zabójców, i po stronie zabijanych. Czyli jestem bezstronny.

Świętego Wincentego à Paulo

Prawda czy fałsz?:

1) Żyd, gdy jest Polakiem, zmienia w Polsce ustrój.

2) Geje górują nad lesbijkami. Oni przyjaźnią się z kobietami, a lesby z mężczyznami – nie.

3) Niemcy mają swoją matkę, a Polacy cudzą – boską. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Papież Leon XIV** zaapelował, aby ustanowić duszpasterstwo dyskretne i nieoceniające. Akurat swoich duszpasterstwo traktuje bardzo dyskretnie i nieoceniająco.
- **Jarosław Kaczyński** zamiast dobrobyt powiedział dobry odbyt. W końcu dobre zwieracze u seniora są na wagę złota.
- **Radiomaryja.pl** informuje, że dieta śródziemnomorska chroni dziąsła. Widać to przez dietę katolicy mają problem z higieną jamy ustnej.
- **Donald Tusk** zauważył, że obecność nietrzeźwych ludzi to nie jest nic przyjemnego. Tylko jeśli się samemu nie pije.
- **Janusz Palikot** napisał, że w więzieniu nie dostał nic zielonego. Bzdura, w więzieniach można bez problemu dostać zioło.
- **Książe Harry** opierdolił w Medyce frytki z food trucka. Tego zapewne nie obejrzymy na Netflixie.

MARTA M.



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Katolicki alkoholizm

Jesteśmy strasznym narodem przez katolicyzm i pijaństwo. Polacy codziennie z rana wypijają ponad milion „małpek". Chodzą więc do pracy na rauszu. W ten sposób walczą ze stresem związanym z życiem w katolickiej Polsce. Pijani kierowcy zabijają ludzi na przejściach dla pieszych. Niszczą niewinne niczemu rodziny, nie mówiąc już o ich własnym życiu. I takiego pijaka musimy później utrzymywać przez lata w więzieniu. Zły przykład dają nam również katoliccy księża, gdy w każdą niedzielę wypijają przy ołtarzu, a więc w miejscu pracy, kilka kielichów wina. A co oni faktycznie sobie leją do tych kielichów, to tylko bóg raczy wiedzieć. Księża idą jednak w zaparte, mówiąc, że piją tylko krew swojego boga. Można i tak. Polacy to kupują. Mnie to natomiast pachnie lekko symbolicznym wampiryzmem. Zresztą już sam Jezus przemieniał wodę w wino, mówiąc „po co pić wodę, jak można wino". I tak rozpijał społeczeństwo żydowskie. (…) Katolicyzm = alkoholizm, bo bardzo trudno jest zrozumieć religię katolicką na trzeźwo. Cała tradycja katolicka toczy się wokół alkoholu. Chrzest – wóda, ślub – wóda, pogrzeb – seta i galareta.

Najwyższy już czas coś z tym zrobić. Zakaz sprzedaży od 22.00 do 6.00 to śmieszne rozwiązanie. W Szwecji alkoholu się nie kupi od godz. 18.00 w nielicznych zresztą sklepach. U mnie na Starym Chełmie, małej dzielnicy Gdańska, jest pięć sklepów, w których można kupić alkohol. Szwed, który mnie kiedyś odwiedził, był w szoku, że tak to działa w Polsce. Potrzebne są ostre i zdecydowane działania, aby ograniczyć spożycie alkoholu, bo inaczej skończymy jak Szwedzi 100 lat temu, gdy większość Szwedów chlała wódę, a kobiety miały na głowie pijaka i utrzymanie rodziny. Porządek z piciem zrobiła szwedzka socjaldemokracja, wprowadzając na alkohol monopol państwowy. Co tu jednak zrobić, gdy polska Lewica desygnuje na ministra alkoholika, a w sejmie w barze można sobie strzelić setkę?

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 96305d9817

Żegnaj, uniwersytecie!

Ostatnie pokolenie akademików



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nieuchronnie zbliża się 1 października, czyli początek nowego roku akademickiego. Dla dziesiątków tysięcy asystentów, adiunktów, starszych wykładowców i profesorów jest to czas na odrobinę refleksji. Refleksji zwykle niewesołych, bo pomijając wąską grupę trzymającą władzę, większość ludu pracującego uczelni jest sfrustrowana i naznaczona poczuciem bezradności i braku sprawczości. Dlaczego?

Bo nauka i szkolnictwo wyższe w Polsce – a w pewnej mierze i w ogóle na świecie – są niczym oblężona twierdza, co rodzi chęć wielu uczonych, aby zamknąć się w wieży z kości słoniowej i udawać, że codzienne sprawy zwykłych ludzi są dla nich bez znaczenia. Oni mają swoje granty i stypendia, a przynajmniej pensje wpływające z góry pierwszego za dany miesiąc.

Stosunkowo w najlepszej sytuacji są ci dający – a przynajmniej mówiący, że dają – studentom konkretny fach, na który jest zapotrzebowanie na rynku pracy. Oni są dopieszczani słowem, choć nie mam pojęcia, czy w kraju, w którym przemysłu po upadku komuny jeszcze nie odbudowano, na każdego czekają pracodawcy z kasą w zębach.

Pijane dzieci we mgle

Jest taka fajna scena w filmie „U Pana Boga za piecem”, w której komendant policji, komentując bandycki haracz na handlujących tu Ukraińcach, kwituje to słowami (cytuję z pamięci): „W dupę braliście, w dupę bierzecie i w dupę brać będziecie, boście naród w dupę biorący”. To samo można powiedzieć o rodzimej kadrze akademickiej – od lat trwa w publicznym systemie szkolnictwa wyższego i nauki mania ciągłych zmian, żądań rozliczania się z czasu pracy, ewaluacji, parametryzacji, oczekiwań umiędzynarodowienia wyników badań, spełniania standardów europejskich przy pensjach, za jakie niemiecka sprzątaczka nie wstaje z łóżka. Trwa nieustanny wyścig szczurów, w którym permanentna gotowość przegryzienia krtani konkurentom i konkurentkom to największy atut. Drugim jest wczytywanie się w życzenia mocodawców.

Mamy do czynienia z pandemią infantylizacji, której ofiarą padają publiczne uniwersytety, nie wspominając o tych wszystkich Wyższych Szkołach Lansu i Bansu. Prof. Mirosław Karwat z Uniwersytetu Warszawskiego na łamach czasopisma naukowego „Studia Krytyczne” wyjaśnił to następująco: „»Przodownik nauki« w szkole wyższej sam też rozumie naukę tak, jak rozumie się ją w szkole. To znaczy: przyswoić, zapamiętać, bezbłędnie powtórzyć; zdać egzamin; uzyskać świadectwo, certyfikat. Ale jest tak dlatego, ponieważ takie mu się narzuca kryteria oceny i warunki sukcesu. To zupełna odwrotność modelu nauki jako dociekliwości, nieustannego poszukiwania, szukania dziury w całym, sceptycyzmu i przewartościowania poszerzającego horyzonty”…

W gruncie rzeczy, kiedy mam zajęcia ze studentami, zwłaszcza pierwszych lat, czuję się jak przedszkolanka zatrudniona w placówce dla dzieci ze specjalnymi potrzebami. Większość osób na sali, nawet na ćwiczeniach i konwersatoriach, siedzi cicho jak mysz pod miotłą, bawiąc się mniej lub bardziej jawnie smartfonami, tabletami, a niekiedy nawet laptopami. Podobnie jak większość moich znajomych, przestałam na to zwracać uwagę, bo mając do wyboru elektroniczne gadżety i mnie, większość wybrałaby te pierwsze…

Inna rzecz, że zanim ktokolwiek powinien mieć możliwość uczenia młodych ludzi, powinien przejść jakieś przygotowanie pedagogiczne. Niekiedy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że na zajęciach studenci oczekują zbiorowej i indywidualnej terapii, głaskania po główkach, przytulenia ich wewnętrznego dziecka, jakże zdziwionego, że ktoś czegoś od nich oczekuje czy też się z nimi nie zgadza.

Sztuczne podziały

Od lat też władze kierują nami zgodnie z zasadą „dziel i rządź”, podsycając podziały między starszymi i młodszymi pracownikami naukowymi, dużymi i małymi ośrodkami, uczelniami technicznymi i medycznymi a tymi, w których większość studentów jest w naukach społecznych i humanistyce. Wielu dyrektorów instytutów i dziekanów oczekuje, żeby podległy im personel był jak Chuck Norris, który wkracza do walki z gołymi rękami i kopniakami zdobywa broń na wrogu. Żąda się od nas zdobywania grantów, choć kasy jest tak mało, że starcza w zasadzie tylko na stolicę i Uniwersytet Jagielloński – pozostałym uczelniom zostają marne resztki.

Stoimy w obliczu pełzającego upadku autorytetu wykładowców akademickich. Po chuj komuś nauka, jak ChatGPT ogarnie temat szybciej i mądrzej niż jakiś tam doktor nauk czy profesor? Studenci coraz częściej mówią szczerze: „czytałem o tym w internecie” czy „przecież tak było na YouTubie”.

I co na takie słowa można odrzec, skoro młody człowiek nie ma pojęcia, że w świecie uniwersyteckim słowo wybitnego znawcy tematu – i to słowo pisane! – jest wyżej cenione od opinii jakiegoś niedorobionego celebryty lub nastoletniej influencerki?

Co znamienne, władze uczelni i poszczególnych wydziałów tylko pogłębiają problemy, zamiast próbować się z nimi mierzyć. Znam przykład prorektor ds. dydaktyki z publicznej uczelni, która – powołując się na jakąś influencerkę z TikToka! – stwierdziła, że powinno się otwierać kierunki związane z jakże modną sztuczną inteligencją. I nie dało się kobiecie wytłumaczyć, że jak ktoś się na tym naprawdę zna, to nawet za trzykrotną pensję profesorską by nie podjął się pracy, bo w ofertach przebierać może jak w ulęgałkach…

Oszustwo i nadzieja

Prawdę mówiąc, chwilami brzydzę się sobą, że przykładam rękę do oszukiwania młodych ludzi często mających nadzieję, że dzięki wykształceniu wyższemu będą mieli szanse na awans społeczny. Rzecz w tym, że nawet zostanie inżynierem dziś nie gwarantuje pracy, a tym bardziej zajęcia sowicie wynagradzanego. Syn znajomych, inżynier-informatyk po niezłej politechnice, opowiada, że sam miał szczęście – znalazł robotę i sobie ją chwali – ale koledzy są albo bezrobotni, albo na śmieciówkach, a jeden kumpel całkiem porzucił zawód wyuczony i został hydraulikiem.

Zapomina się też o tym, iż w świecie, w którym zwycięzca bierze wszystko, nie ma solidarności między ludźmi, a zasadniczym celem pracy danej jednostki jest pozbawianie (bezpośrednie lub pośrednie) pracy innych. Czego informatyka czy robotyka jest najlepszym przykładem.

Zastanawiam się: gdyby wszystkie szkoły wyższe w Polsce zostały zamknięte od 1 października do odwołania – czy poza osobami, które w nich pracują, ktokolwiek by to zauważył? Mam nadzieję, że tak, ale tylko dlatego, że nadzieja jest dana tym, którzy już nadziei są pozbawieni…

KAT

Polska armia na drodze do deifikacji

Fetysz Donalda

„Ręce precz od polskich żołnierzy” – rzucił Donald Tusk w mediach społecznościowych, komentując zniszczenie domu w Wyrykach przez polską rakietę, która nie trafiła we wrażego drona. I reakcję internetowego komentariatu na tę niewątpliwą wtopę, nie tylko przecież wizerunkową.

Taki na przykład postpisowski politolog Marek Migalski prawie natychmiast w kilku trafnych zdaniach obśmiał to militarystyczne zadęcie premiera rządu: „Mamy w Polsce nową kategorię świętych krów. To żołnierze. Mogą uderzyć w dom rodzinny, strzelać w kierunku imigrantów na granicy z Białorusią, rozwalić samolot wart pięć szpitali, ale dla polityków i demosu będą bohaterami”. Dodając przy tym nie do śmiechu: „Ta deifikacja armii jest bardzo niebezpieczna. Politycznie to się premierowi opłaci, bo postawi w ciężkiej sytuacji PiS, które będzie atakować rząd za wpadkę z oskarżeniem Rosjan o zniszczenie domu w Wyrykach. Ale

długofalowo ta fetyszyzacja armii i postawienie jej ponad krytyką mediów i opinii publicznej skończy się źle”.

Mamy dla niebelwederskiego profesora Uniwersytetu Śląskiego i częstego bywalca tefałenowskich publicystycznych salonów złą wiadomość: od dawna jest źle, a Wyryki to ciąg dalszy w tym względzie. Zresztą wielce emblematyczny, o czym świadczy news, pominięty przez media głównego nurtu.

W ubiegłym tygodniu bowiem na stronie internetowej niszowego propisowskiego radia Wnet dostaliśmy egzemplifikację ręcznego sterowania prokuraturą przez armię: „Z ustaleń Radia Wnet wynika, że prokuratorem prowadzącym sprawę Wyryków jest Kornelia Narcyza Kołek. Prokuratorka jest delegowana z Prokuratury Rejonowej dla Rzeszowa do Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Jest prokuratorem wojskowym w stopniu podporucznika. Wymieniamy ją z nazwiska, bo kontrowersje może budzić staż śledczej. Okazuje się, że pracuje na stanowisku prokuratora dopiero od 3 lat”.

Informator radia twierdzi przy tym słusznie, że w takich razach postępowanie powinien dostać śledczy o wiele bardziej doświadczony niż wspomniana podporucznik Kołek. Bo ta, co nietrudno zgadnąć, będzie łatwo naciskana.

Dalej jest jeszcze śmieszniej, bo okazuje się, że Waldemara Żurka, szefa resortu sprawiedliwości i prokuratora generalnego, oprócz Marcina Kierwińskiego, ministra MSWiA (o czym pisaliśmy niedawno w „NIE”), jebie też, za przeproszeniem, wojsko.

Cytujemy dalej za Wnetem: „To jednak nie koniec dziwnych odsłon tej sprawy. Okazuje się, że informacji o niej nie ma… zastępca prokuratora generalnego do spraw wojskowych Tomasz Janeczek. Jak dowiedziało się Radio Wnet, kiedy Janeczek zwrócił się na piśmie o raportowanie mu, co dzieje się w pionie wojskowym po ataku dronowym, uzyskał odpowiedź, że nie są to postępowania z jego obszaru kompetencji, bo nie podlegają orzecznictwu sądów wojskowych. To musi budzić zdumienie w kontekście zdarzenia w Wyrykach. Jak mówi nam śledczy, akurat ono w sposób wręcz książkowy wpisuje się właśnie w temat dla sądów wojskowych”.



Rys. WIDGET

Drugi mniej oczywisty, na pierwszy rzut oka, przykład tego, jak armia może się wpieprzać w nie swoje zupełnie kompetencje, pojawił się ostatnio w Prokuraturze Okręgowej w Olsztynie. Od 1 stycznia 2025 r. prowadzi ona postępowanie dotyczące 25-letniego byłego już szweja, który w sylwestra w Mielniku odstawił Rambo: nagle wybiegając z lasu, ostrzelał serią z karabinu podróżującego autem ojca z nastoletnią córką. Miał kompletnie „zerwane kino” i pewnie dlatego, szczęście w nieszczęściu, nikogo wtedy nie pozabijał.

Do prokuratury dotarła właśnie opinia biegłego z psychiatrii, że facet był, uwaga, „niepoczytalny w momencie popełnienia czynu” (jaki miał być, jak był skuty jak Messerschmitt?). Oznacza to tyle, że jeśli prokurator prowadzący postępowanie w tej sprawie uzna tę opinię za wiarygodną, będzie mógł skierować do sądu wniosek o umorzenie śledztwa.

– To idzie ewidentnie w kierunku skręcenia tej sprawy – mówi jeden z prokuratorów. – Chłopaka umieści się potem w szpitalu psychiatrycznym, posiedzi tam roczek, a potem wyjdzie na wolność. W innym przypadku grozi mu nawet dożywocie.

I rzuca zaraz kamyczkiem do naszego ogródka: – Na miejscu dziennikarzy dowiedziałbym się, kim jest ten facet i czy przypadkiem nie ma w armii dobrze umocowanego ojca, wujka albo brata... To ewidentnie śmierdzi na kilometr.

JMP

eprasa.pl 96305d9817

Dymanie rządu za pomocą wysłania ambasadora na bruk

Kacze zbuki

Można Jarosława Kaczyńskiego nie lubić, można nim gardzić, ale jednego liderowi PiS nie idzie odmówić: jest genialnym strategiem w robieniu wiatraka z szeroko pojętej konkurencji. Hucpa z eksmisją ambasady Federacji Rosyjskiej w Warszawie tezę tę potwierdza.

17 września Prawo i Sprawiedliwość złożyło w sejmie projekt uchwały w sprawie pilnej potrzeby zabezpieczenia terenu wokół siedziby Ministerstwa Obrony Narodowej. Zakłada on wywłaszczenie rosyjskiej ambasady w Warszawie przy ul. Belwederskiej 49 i przeniesienie jej pod inny adres w stolicy, ponieważ poprzez swoje położenie (bliskie sąsiedztwo kancelarii premiera oraz Belwederu) i w kontekście agresywnych działań Rosji (plucie dronami) stanowi poważne zagrożenie kontrwywiadowcze.

Tak przynajmniej brzmi argumentacja PiS. Pomysłowi prędko przyklasnął były ambasador Polski w Ukrainie Jan Piekło, który w rozmowie z serwisem Gazeta.pl stwierdził, że „nie ma przepisu, który zabraniałby zmiany lokalizacji ambasady". Dowcip polega na tym, że nie ma też takiego, który by na to zezwalał.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Litera P

Utrzymywanie stałych oficjalnych stosunków dyplomatycznych i konsularnych między państwami łączy się z posiadaniem przez obce przedstawicielstwa dyplomatyczne i urzędy konsularne nieruchomości do celów związanych z wykonywaniem funkcji urzędowych. Ustaleń co do przedmiotu wspomnianych uprzejmości lokalowych nie dokonuje się przybiciem śliny na tyłach lokalnego burdelu, a na podstawie (oraz interpretacji) zasad i norm prawa międzynarodowego – głównie konwencji wiedeńskich z 1961 (KWSD) i 1963 (KWSK) r. Konwencje te mają charakter uniwersalny, gdyż ich stronami są niemal wszystkie państwa świata, w tym kraj nad Wisłą. Zawarte w glejtach przepisy nie tylko zapewniają prawo do posiadania na terytorium państwa przyjmującego mienia ruchomego i nieruchomego, koniecznego do pracy urzędowej, lecz także jego specjalną ochronę prawną.

Obie konwencje wiedeńskie zawierają szczegółowe definicje nieruchomości dyplomatycznych i konsularnych. Według KWSD-1961 pod pojęciem „pomieszczenie misji dyplomatycznej" rozumie się „budynki lub części budynków i tereny przyległe do nich, niezależnie od tego, kto jest właścicielem, użytkowane dla celów misji, łącznie z rezydencją szefa misji". Teren, na którym znajduje się ambasada Federacji Rosyjskiej w Warszawie (i wszystkie pozostałe), formalnie jest własnością skarbu państwa, ale Rosja ma prawo użytkowania wieczystego tego obszaru na cele ambasady. W praktyce oznacza to tyle, że ambasady są państwami w państwie – teren i nieruchomości formalnie należą do Polski, ale pozostają pod jurysdykcją prawa międzynarodowego, które stoi ponad krajowym. Wszyscy zrozumieli? Świetnie, bo teraz dochodzi kwestia ochrony prawnej.

Dura lex

Władze państwa przyjmującego (w tym przypadku Polski) nie mogą wejść z drzwiami do ambasady, żeby dokonać kipiszu albo zagarnięcia kwadratu. Żeby wykonać taki manewr, muszą uzyskać zgodę szefa misji dyplomatycznej. Pomieszczenia ambasady są nietykalne. Immunitet egzekucyjny wyklucza możliwość zajęcia, rekwizycji czy innych środków przymusu wobec mienia ambasady. Pomieszczenia i mienie ambasad podlegają ochronie przed wtargnięciem, szkodą oraz zakłócaniem porządku. Państwo przyjmujące ma psi obowiązek podjęcia wszelkich stosownych działań, aby ochrona ta była skuteczna i by niewłaściwe działania nie utrudniały działalności dyplomatycznej – bez względu na to, jak głęboko w dupie ma rezydentów i jak bardzo chciałaby się ich pozbyć. Krótko mówiąc, wszelka ingerencja wobec tych nieruchomości ze strony władz państwa przyjmującego jest wykluczona, chyba że za uprzednią zgodą państwa wysyłającego, czyli w tym przypadku Rosji. Co więcej, placówki dyplomatyczne korzystają z pełnej ochrony prawnej przed ingerencją prawną czy administracyjną ze strony państwa przyjmującego.

Naruszenie tych zasad jest poważnym złamaniem prawa międzynarodowego i może skutkować negatywnymi konsekwencjami politycznymi i gospodarczymi dla państwa, które pozwoli sobie na taki wybryk. Raz jeszcze dla utrwalenia: normy prawa międzynarodowego mają pierwszeństwo przed prawem wewnętrznym. Co zatem może zyskać PiS? W kwestii relokacji ambasady gówno, ale i tak wyjdzie na swoje.

Sed lex

Podczas konferencji prasowej Kaczyński wraz ze swoimi przybocznymi Marcinem Ociepą i Mariuszem Błaszczakiem przekonywali, że fikoł z wysiudaniem Rosjan jest prawnie trudny, ale nie niemożliwy. Oczywiście można bawić się w ciuciubabkę i w nieskończoność wzywać notami dyplomatycznymi stronę rosyjską do opuszczenia budynku obecnej ambasady i ciągać na dywanik ambasadora, ale umówmy się – gówno to da.

Sejm w obecnym kształcie nie uchwali również żadnej specustawy, która eksmitowałaby Rosjan z Belwederskiej 49.

Pisowski projekt uchwały sejmu jest aktem niewiążącym i bez względu na jego dalsze losy to sygnał, że Kaczyński poważnie wziął się za kampanię parlamentarną, a wywłaszczenie Rosjan z ambasady stanie się jednym z jej głównych postulatów.

Każdy głos przeciw będzie według pisowskiej narracji głosem w obronie Rosji. Każdy głos za – niepotrzebną cegłą eskalacji i być może zerwania stosunków dyplomatycznych ze Wschodem. Batuta Kaczyńskiego jak zwykle prowadzi rządową orkiestrę po trupach do pisowskiego celu.

IDALIA DUBICKA

Ostatnie balkonienie

Jak działać, żeby nie zdziałać

Smętny poniedziałek. Warszawa, okolice Nowego Światu. Cisza, spokój, ruch w normie. Nagle – bach! – nad wejściem do siedziby partii Razem rozwija się baner, a na balkon po drabinie wchodzą aktywiści klimatyczni z grupy Ostatnie Pokolenie. Wyciągają telefony, odpalają lajfy, relacje lecą na Instagram. Balkonowe reality show; mamy więc protest, happening, performance, akcję artystyczną – zwał, jak zwał. Wszystko oprócz realnego wpływu na rzeczywistość.



Rys. JANUARY

O co chodziło balkonowym akrobatom? Ostatnie Pokolenie zażądało od Razem, żeby ta rozesłała do swoich członków maila z wezwaniem na okupację pod sejmem (o planowanej akcji z entuzjazmem, którego zazdroszczę, pisał na naszych łamach Piotr Ikonowicz). I tu zaczyna się kabaret – bo domaganie się od małej opozycyjnej formacji, żeby grała rolę klimatycznego call center, to nie jest strategia polityczna, tylko desperacka improwizacja. Świadcząca o braku chętnych na koczowanie przy ul. Wiejskiej.

Nie trzeba było od razu robić szopki na balkonie. Mogli po prostu przyjść na spotkanie, porozmawiać z członkami partii, przedstawić swoje argumenty i zaprosić do udziału w działaniach pod sejmem

– bez drabin, banerów i lajfów w mediach społecznościowych. Wyglądało to, jakby ktoś chciał przekonać kierownika do podwyżki, skacząc po biurku w stroju klauna – efektowne, nie powiem, ale skutku żadnego.

Sądzę, że razemici, gdyby ich poprosić, chętnie by tego maila wysłali. Politykom takie podłączenie pod słuszny przecież protest zawsze się przydaje, szczególnie gdy większość pracy wykona za nich ktoś inny. Ale przecież spektakl na balkonie wygląda lepiej na Instagramie. Jeśli jednak chodzi o skuteczność, to akurat trochę zawodzi. Bo poddana balkonowej presji partia maila ostatecznie nie wysłała. Moim zdaniem – słusznie.

Albowiem sprawa jest poważna. Zmiany klimatyczne nie czekają, a społeczne i polityczne decyzje wymagają strategii, a nie małpiej zwinności. Każde działanie, które ma przyciągnąć uwagę, ale odstrasza potencjalnych sojuszników, staje się samosabotażem. Ostatnie Pokolenie słusznie alarmuje: świat się pali, rządy reagują powoli, a my wciąż liczymy na cud. Tylko że dramatyczny teatr balkonowy, blokowanie dróg czy oblewanie farbą obrazów skutkuje dokładnie odwrotnie: ludzie widzą chaos i agresję – i tyle. Rzeczywisty nacisk polityczny? Zerowy.

Można krzyczeć, wspinać się po drabinach, blokować ulice, oblewać farbą dzieła sztuki – wszystko to daje poczucie działania. Tylko że polityka i realne zmiany wymagają koalicji, negocjacji, cierpliwości. Kiedy protest odpycha przypadkowych ludzi, zamiast ich przyciągać, potencjalni sojusznicy uciekają. Zamiast przekonywać, odstrasza się tych, którzy mogliby faktycznie posunąć sprawę do przodu.

Nie neguję intencji – każdy, kto próbuje ratować planetę, zasługuje na szacunek. Ale metody muszą być przemyślane. Czasem mniej znaczy więcej: spokojna rozmowa, solidny argument, gotowość do współpracy. To przynosi efekty. To sprawia, że słuszny postulat, zamiast pozostać w sferze widowiska, staje się realną zmianą. Bo przekonuje większość, a nie tylko aktywistów.

Ostatnie Pokolenie postuluje dobrze, ale sposób, w jaki próbuje wymusić na innych działanie, pokazuje naiwność. Balans między słusznością a skutecznością jest kluczowy. Inaczej nawet najwłaściwsza sprawa zamienia się w kabaret, który ogląda się z rozbawieniem na Instagramie – a po wyjściu z internetu świat pozostaje w tym samym krytycznym stanie. Co było do udowodnienia.

DAMIAN DUSZCZENKO

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Warszawski radny Jarosław Szostakowski uchodzi za prawą rękę polskiego ministra Marcina Kierwińskiego, obaj z Platformy Obywatelskiej. Prezydent Warszawy i z PO, Rafał Trzaskowski, chciał, żeby rada stolicy ograniczyła sprzedaż alkoholu w sklepach w nocy w całym mieście. Wówczas na scenę wszedł Szostakowski, do tej pory znany czterem psom z kulawymi nogami. Wydawało mu się, że występuje przeciwko lewicy: „Lewica ma długą historię w Polsce wprowadzania zakazu sprzedaży alkoholu. Nie są one związane tylko z ostatnimi latami. Najdłuższy zakaz, który został wprowadzony w latach 80., został wprowadzony przez lewicowo-komunistyczny rząd Jaruzelskiego". Oraz prawicy: „Pierwszy historycznie zakaz sprzedaży alkoholu wprowadzały w latach 30. Stany Zjednoczone. Tam akurat Ku-Klux-Klan był tą organizacją, która inicjowała ten proces".

Jeśli przyjąć, że sposób argumentowania radnego Szostakowskiego jest typowy dla głąbów, to trzeba również przyjąć, że radny Szostakowski jest bałwanem. Jeżeli tak, to minister Kierwiński, zezwalając, żeby bałwan był jego prawą ręką, albo sam jest głąbem, albo jest trochę mniej głupi, bo w porównaniu z bardziej głupim chce uchodzić za mędrca.

Obstawiamy to pierwsze.

eprasa.pl 96305d9817

Głos w obronie pijaństwa

Rozmawiam z Czarzastym o wódzie

„Rozmawiamy o wódzie, rozmawiamy o rozpijaniu polskiego społeczeństwa, o czymś, co powinno mieć swój kres” – ogłosił Włodzimierz Czarzasty, promując projekt ustawy o zawadiackim tytule „Stop alkolobby”. I dodał odkrywczo: „wóda jest wódą”.

Najnowszą edycję walki z rozpijaniem Polaków zainicjowała kompromitacja prezydenta Trzaskowskiego, który ukucnął przed – jak wieść gminna głosi – Kierwińskim i wycofał spod obrad Rady Warszawy własny projekt uchwały o nocnej prohibicji w stolicy, zastępując go nic nieznaczącym stanowiskiem w sprawie pilotażu „alkoholowej ciszy nocnej” w Śródmieściu i na Pradze Północ. Radni klubu Lewica – Miasto jest Nasze nie posiadali się z oburzenia, wiceprezydent miasta z Polski 2050 Jacek Wiśnicki w ramach protestu podał się do dymisji (szacun) i obie formacje pobiegły do sejmu, żeby tam przepchnąć nocną prohibicję ustawowo. Projekty są dwa, ale ponoć nie konkurencyjne, tylko bratnie, zmierzające ku temu samemu celowi – odcięciu ludu od wódy, chociażby po ciemku. Nagle okazało się, że nocna prohibicja jest w Polsce problemem numer jeden.

Wyznam szczerze, że mam z tym niejaki problem.



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Ostatni raz „wódę” – a konkretnie butelkę wina – w sklepie nocnym kupiłam jakoś tak w 2009 r., jak mi się goście zasiedzieli. Ale jakoś wkurwia mnie, że ktoś chce mi tego zabronić.

Całkiem niewykluczone, że przemawia przeze mnie anarchol – może lewacki, a może nawet taki zwykły, polski, co na wszelkie zakazy reaguje alergicznie, bo nie będzie mi władza mówić, ile mam pić i kiedy. Ale nie tylko.

Między Rosją i Finlandią

Cały ten pomysł z nocną prohibicją nie jest oryginalny. W Rosji na przykład obowiązuje federalny zakaz sprzedaży alkoholu między 23.00 a 8.00, choć niektóre regiony idą z ograniczeniami dalej: w obwodzie wołogodzkim np. gorzałę można kupić od południa do 14.00, a w Czeczeni – o ile dobrze pamiętam – od 8.00 do 10.00. I to tylko teoretycznie, bo po tym, jak w 2016 r. siedem osób zginęło w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, posiadacze nielicznych koncesji na sprzedaż alkoholu całkiem spontanicznie złożyli je u stóp Ramzana Kadyrowa i przysięgli nigdy więcej nie handlować napojami wyskokowymi (co skądinąd nie przeszkodziło mi rok później wypić z moimi czeczeńskimi przewodnikami kilku flaszek gorzały podczas dyskusji o ateizmie; im więcej pili, tym bardziej bawił ich koncept, że Boga nie ma). Rosja wprowadziła też cenę minimalną flaszki, totalny zakaz reklamy napojów alkoholowych, a nawet – imaginujcie sobie – zakaz podawania i sprzedaży alkoholu w Aeroflocie. I mimo tego jakoś Moskwa nie stała się światową stolicą trzeźwości.

Ale odłóżmy Rosję, bo zgaduję, że nie jest to wzorzec, do którego odwołują się nasi rycerze frontu antyalkoholowego.

Koncept administracyjnego utrudniania dostępu do alkoholu istnieje – i ponoć nawet się sprawdza – w krajach skandynawskich. W Finlandii, Islandii, Norwegii i Szwecji państwo ma monopol na sklepy – no właśnie – monopolowe, operujące w określonych godzinach, nie później niż do 20.00. W soboty gorzałę można kupić góra do 15.00, w niedziele obowiązuje suchy zakon. W mniejszych miejscowościach flaszkę trzeba zamówić i przyjść po nią w wyznaczonym terminie. Dotyczy to zarówno mocnego alkoholu, jak i wina, nieco łatwiej kupić piwo, cydr czy sikacze poniżej ośmiu gradusów.

Na tym tle polskie pomysły nocnej prohibicji mogą wydawać się powściągliwe. Jest jednak jedno „ale”.

Ustrój zwany modelem skandynawskim (choć tak naprawdę chodzi o model nordycki, tylko słowo to nie ma najlepszych konotacji) opiera się na szeroko pojętej opiekuńczości państwa. Model ten oczywiście mierzy się z pewnymi wyzwaniami w neoliberalnej dystopii, w jakiej tkwi dziś świat – ale mimo tego Finlandia, Dania, Islandia, Szwecja i Norwegia nieustannie są w czołówce wszystkich rankingów dotyczących jakości życia, poczucia szczęśliwości obywateli, satysfakcji życiowej etc. Prawdziwe państwo opiekuńcze przynosi najszerzej pojęte bezpieczeństwo socjalne, wyrównuje szanse, gwarantuje jakość i godność pracy i płacy, walczy z marginalizacją, pomaga wszystkim potrzebującym, prowadzi odważną politykę redystrybucyjną, niwelując nadmierne nierówności, zapewnia opiekę medyczną, edukację, szanse rozwoju, wsparcie dla niepełnosprawnych na najwyższym poziomie. Zgoda: nie gwarantuje nikomu wiernego męża, kochającej żony i wdzięcznych dzieci – ale w innych obszarach robi, co może.

I coś Wam powiem: wtedy – i tylko wtedy – państwo ma prawo bruździć ludziom w piciu. Kiedy zrobiło już wszystko, co w jego mocy, żeby pić nie musieli.

Sfrustrowani, wypaleni, nawaleni

Ludzie piją, bo lubią – ale piją też z lęku przed jutrem, z desperacji, z beznadziei, z rozpaczliwej potrzeby ucieczki od myślenia, a także w ramach tego, co Himilsbach nazywał „wprowadzaniem elementu baśniowego do rzeczywistości”. Alkohol – zwłaszcza w polskiej obyczajowości – pełni często funkcje terapeutyczne, a przynajmniej znieczulające.

Legendarny polski psychiatra Antoni Kępiński wyróżniał pięć stylów picia – neurasteniczny, kontaktywny, dionizyjski, heroiczny i samobójczy – dodając, że Polacy mają szczególną tendencję do tych dwóch ostatnich, wyraźnie autodestrukcyjnych. Kępiński pisał to w moim ulubionym roku 1972 i pewnie dziś, w epoce neoliberalnego kapitalizmu, równie popularny okazałby się styl neurasteniczny: regularne wieczorne picie niewielkich ilości alkoholu, żeby poprawić sobie samopoczucie w stanie zmęczenia czy rozdrażnienia. Czyli w stanie, który nie jest obcy większości Polaków – zwłaszcza tych pracujących.

Rodacy, w dziwacznej próbie udawania Amerykanów, systematycznie deklarują, że są bardzo szczęśliwi i zadowoleni życia – według tegorocznego Europejskiego Sondażu Społecznego odpowiednio 77 i 74 proc. ankietowanych zakreśliło odpowiedzi między 7 a 10 w 10-stopniowej skali. Jednak jak poskrobać głębiej – w różnych innych sondażach, które zadają bardziej podchwytliwe pytania – to okazuje się, że 80 proc. nie czuje pasji do swojej pracy, a 77 proc. nie sądzi, żeby ich praca była potrzebna społeczeństwu. 61,5 proc. uważa, że ich zawodowe obowiązki nie odpowiadają ani ich kompetencji, ani ich chęciom. 54 proc. czuje presję nadmiernego obciążenia pracą. 68 proc. przyznaje, że rozważa zmianę pracy, a 21 proc. aktywnie jej szuka. 26 proc. – najwyższy odsetek w Europie – ma poczucie kompletnego wypalenia zawodowego. Którego polskie przepisy nie uznają za chorobę, a już tym bardziej powód do wystawienia L4. Wtedy, kiedy Skandynawowie idą na zwolnienie, terapię albo na urlop – Polacy mogą być tylko na bani.

Dlatego myślę sobie, że zaczynanie rozwiązywania problemów społecznych od zakazu sprzedaży gorzały nie jest najlepszy pomysłem.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Program pilotażowy zamiast spokoju w nocy

Pan pijaczek pozwoli...

ETYKA BEZBOŻNA

Nie tylko Warszawa, lecz cała Polska żyje dość sensacyjną decyzją stołecznej rady miasta, która odrzuciła radykalny jak na warunki polskie postulat zakazu nocnej sprzedaży alkoholu w całym mieście, decydując się na tzw. pilotaż w wybranych okolicach dwóch alkoholem słynących dzielnic, to jest w Śródmieściu i na Pradze Północ. No bo jak to?! Postępowa Platforma jak jacyś konfiarze wyżej stawia wolność picia, odlewania się po bramach, nocnych ryków i rozbijania butelek o trotuar niż trzeźwość, zdrowie publiczne i cisze nocną? Wyborcy są zdumieni i wściekli. A etyk ma ciekawy temat do rozważań.

Wiadomo: picie jest złe, więc generalnie trzeba je zwalczać. Wobec tego każda inicjatywa ograniczająca dostępność alkoholu powinna być uważana za słuszną. Tylko dlaczego wobec tego nie zakazać picia w ogóle, tak jak zakazuje się narkotyków? Dawniej myśleliśmy, że jednak alkohol to coś innego. Że nie aż taki szkodliwy i nie można go stawiać na równi z dragami. No, ale ostatnio trend się w medycynie zmienił. Alkohol, technicznie biorąc, jest jedną ze szkodliwych substancji psychoaktywnych i w zasadzie nie zasługuje na żadne specjalne względy. Jeśli takowymi się cieszy, to z powodów kulturowych i prawem bezwładności. Zawsze się piło, więc jakże teraz zakazywać?

Chodzi więc o to, że picie jest częścią tradycji kulturowej i obyczajowości, w związku z czym zasługuje na pewien respekt i ochronę mimo swojej szkodliwości. A zresztą kto komu każe nadużywać i się uzależniać? No właśnie. Zamiast zakazów trzeba nam „kultury picia”. Gdyby zaś kogoś to jeszcze nie przekonywało, to niech pamięta o świętych zasadach wolności. Nie ma wszak wolności bez prawa do robienia rzeczy szkodliwych albo ryzykownych. Kto pije, ten pije na własny rachunek. To jego sprawa. Natomiast zakazy są nieskuteczne i tylko sprzyjają czarnemu rynkowi, pozbawiając przy tym uczciwych dochodów i sklepy, i fiskusa. A na melinie zawsze gorzałkę dostaniesz.

Mniej więcej taki jest stan spraw i argumentów w momencie, gdy różnego szczebla władze debatują nad jakąś formą ograniczonej prohibicji. Niestety, wszystkie te argumenty przeciwko takim ograniczeniom skrojone są na okoliczność prohibicji zupełnej, a nie częściowej. Bo gdy alkohol nie ma wcale być zakazany, lecz jedynie nie można go kupić w sklepie nocą albo na stacji benzynowej, to cóż to jest za atak na konstytucyjne prawo do szkodzenia sobie? Albo na szlachetne tradycje zabawy i świętowania z niewielkim udziałem trunków? Każdy może się zaopatrzyć w porę.



Rys. TOMASZ WIATER

W gruncie rzeczy częściowa prohibicja nie jest „krokiem w dobrym kierunku”, czyli powolnym przyzwyczajaniem nas do prohibicji z prawdziwego zdarzenia, która nastąpi kiedyś, za wiele lat. Chodzi wyłącznie o hałas i bałagan, jaki robią pijani. Gdy w sklepie nocą można kupić alkohol, to w jego okolicy będzie więcej krzyków i ryków, puszczania muzyki i szczania, gdzie popadnie, niż w okolicy, gdzie alko się nie sprzedaje. Będą się też zdarzać poważniejsze sprawy, jak pobicia i niszczenie mienia.

Proste? Proste i właśnie dlatego takie trudne. W naszych czasach jest już bowiem tak, że brzydkie i trywialne rzeczy stały się poniekąd tabu. Nie wolno mówić o pijanej hołocie rozrabiającej po nocach w centrum Warszawy czy Krakowa, bo nawet jeśli nazwie się ją „rozochoconą młodzieżą” dokonującą „zakłóceń porządku”, to i tak będzie wiadomo, że pewna kategoria osób zostanie wskazana placem i postawiona do raportu. A przecież nie każdy młody człowiek upija się w upalną letnią noc i „zanieczyszcza” – obruszy się młody obywatel. Tego rodzaju branie do siebie krytyki jest całkowicie irracjonalne, lecz tym trudniej walczyć z nim argumentami. Jeśli kupujesz w nocy wódkę i zachowujesz się dobrze, to nie znaczy, że zabraniając takich zakupów, każemy ci „cierpieć” z powodu garstki takich, którzy zachowują się źle. Nie ma tu żadnej stygmatyzacji ani wrzucania wszystkich do jednego worka. Jest za to całkiem zwyczajne i całkiem zrozumiałe pragnienie, aby były cisza i spokój na ulicy.

Niestety, w warunkach wysoce idealistycznej maniery prowadzenia debaty publicznej, gdy zakłada się, że wszyscy są kulturalni i zasługują na szacunek, przywoływanie tematu osób, które nie są kulturalne i nie zasługują na szacunek, jest bardzo niewygodne. Za komuny był tzw. margines społeczny, potem była tzw. patologia, a teraz z trudem akceptuje się „niski kapitał kulturowy”.

Kto więc mówi o rzygających ochlaptusach, ten narusza nie tylko wymagania estetyczne debaty publicznej, lecz niemalże przekracza tabu zakazujące mówić źle właściwie o kimkolwiek.

A tak chciałoby się po prostu powiedzieć jak za jakieś sanacji: Dosyć mamy pijanego chamstwa drącego się po nocach! Niestety, dziś trzeba kulturalnie i z troską. I dlatego tak trudno walczyć z chamstwem – w wojnie z kulturką chamstwo zawsze będzie górą. Kulturka będzie pouczać, perswadować, robić szkolenia i programy pilotażowe. A chamstwo będzie ryczeć wyzwiska, rzucać butelkami i rzygać. I taka to jest w tej demokracji polityka: cackać się, cackać, aż do następnych wyborów. No, chyba że jest się Karolem Nawrockim. Ten się nie cacka: wóda ma być tania, dostępna i pita. Bo co wypite, to jest polskie i swojskie. A niepijusy niech spadają do Brukseli.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 96305d9817

Porzucone macice Tuska

Do wyborów jeszcze daleko, ale płodziarze nie śpią i mozolnie projektują prokreacyjną przyszłość Polaków.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Zaraz zabiją dziecko! Zatrzymaj to!” – napisał do mnie i reszty subskrybentów w mailu prezes Instytutu Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski. Tak jak się spodziewałam, elaborat obfitował w gorzkie żale o tym, że w historii III RP nie było jeszcze tak źle z ochroną życia jak dziś i każdego dnia tego roku – z polecenia rządu (sic!) za publiczne pieniądze, a na dokładkę z naruszeniem prawa i konstytucji – kolejne dzieci zabijane są przez aborcję. Chciałoby się zapytać, gdzie wady? Jednak tym razem z gąszcza próśb o datki i deklaracji o wylizywaniu swoich ultrakatolickich jaj wydłubałam wątek, który powinien (przynajmniej z założenia) podnieść rzekomo walczącemu o prawa kobiet premierowi Tuskowi ciśnienie.

W 2024 r. rząd Donka, w obliczu braku większości parlamentarnej rozkraczył się nad liberalizacją prawa aborcyjnego. Ówczesna minister zdrowia Izabela Leszczyna i równie ówczesny minister sprawiedliwości Adam Bodnar, chcąc przywrócić uśmiech na twarzach zawiedzionych wyborców, zakasali rękawy i zaczęli rzeźbić w gównie, czyli grzebać w istniejących przepisach, zamiast je zmieniać. Skutkiem tej radosnej twórczości była publikacja wytycznych Ministerstwa Zdrowia z 30 sierpnia 2024 r., dzięki którym za sprawą jednego zaświadczenia od dowolnego lekarza (w tym psychiatry), opatrzonego magicznym hasłem „zagrożenia życia”, można było przeprowadzić eksmisję niechcianego lokatora z macicy nosicielki. Piszę o tym w dużym uproszczeniu, a i wszyscy pamiętamy, że sama procedura niejednokrotnie spotykała się z gestem środkowego palca lekarzy pracujących w placówkach NFZ, co nie zmienia faktu, że furtka skrobankowa została nieco uchylona. Kwaśniewski i reszta obrońców wewnątrzmacicznych galaret zwarli szyki, żeby ją zamknąć.

„Optymistyczna” przyszłość

Zespół Ordo Iuris wyjął łapy z gaci cudzych małżonków i przygotował wniosek do Trybunału Konstytucyjnego o stwierdzenie niezgodności z Konstytucją RP zarówno samych wytycznych, jak i przyjętej w nich proaborcyjnej interpretacji przepisów prawa. Tu robi się ciekawie.

Przygotowany przez katolickie konserwy projekt wniosku trafił na ręce pierwszej prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzaty Manowskiej. Ma ona prawo wystąpić z wnioskiem o zbadanie zgodności normy prawnej z konstytucją do Trybunału Konstytucyjnego. Choć uprawnienie wynika bezpośrednio z konstytucji i ustawy o TK, w praktyce było rzadko wykorzystywane na przestrzeni ostatnich lat ze względu na burdel wokół statusu TK po pisowskich reformach. Wyszło śmiesznie, bo jak wynika z wyjaśnień Kwaśniewskiego, Manowska stwierdziła, że owszem, przygotowany przez Ministerstwo Zdrowia dokument jest bezprawny, a „ujmowane w nim wskazania nie tworzą ani po stronie lekarzy, ani po stronie przedmiotów leczniczych zobowiązań prawnych”, ale zainicjowania sprawy w Trybunale odmówiła. Ultrasi nie poczuli urazy i uderzyli z glejtem do wyższej instancji. Wniosek trafił do Kancelarii Prezydenta.

Karol Nawrocki jeszcze w kampanii krytykował „promowanie wartości śmierci” jako zagrożenie dla nadwiślańskiej demografii, a jego poglądy nie tyle pozostają spójne, co wytyczone przez PiS i Kościół katolicki. Można się zatem spodziewać, że pomysły trzódki Kwaśniewskiego nie trafią pod strumień ciepłego prezydenckiego moczu. Dla pewności instytut uszył internetowy apel, którego sygnatariusze wzywają głowę państwa do złożenia w Trybunale Konstytucyjnym wniosku o kontrolę ogłoszonego przez Ministerstwa Zdrowia dokumentu.

Sam Kwaśniewski raczej z optymizmem patrzy w przyszłość, bo jak zapewnił, ma tę świadomość, że dzisiaj rządzący ignorują orzeczenia TK, jednak „szpitale i lekarze, a także urzędnicy NFZ, nie będą tak skorzy do wykonywania poleceń uznanych jednoznacznie za niekonstytucyjne, bo już niebawem po upadku tego rządu poniosą za to odpowiedzialność – dyscyplinarną, karną i finansową”. Kurwa, no raczej. Szczególnie że lekarze już są ścigani przez rozmaite organa państwowe, mimo że działają w zgodzie z literą prawa. Co gorsza, nie tylko przez katolską inkwizycję.

Stare-nowe

W ostatnim czasie głośna stała się sprawa ginekologa dr. Jarosława Górnickiego. Lekarz osiem lat temu zaczął wystawiać recepty na tabletki „dzień po” bez upokarzających pytań, moralizowania, zmuszania do tłumaczenia się, z kim, ile razy i czy miał prezerwatywę. Do lekarza wystarczyło umówić się na e-konsultację i zaznaczyć, że chodzi o wypisanie recepty na antykoncepcję awaryjną. Za wystawienie świstka Górnicki pobierał symboliczną opłatę, najpierw 1 zł, później 10 zł. Ponieważ dobre wieści szybko się roznoszą, do medyka w szczytowym momencie zgłaszało się 1,5 tys. kobiet miesięcznie. Lekarz zatrudnił nawet do wsparcia asystentkę.

Jeszcze za czasów PiS wpływały na niego donosy skutkujące kontrolami w gabinecie, ale te nie wykazały nieprawidłowości, bo wszystko odbywało się legalnie. Do czasu. W 2024 r. MZ pod kierownictwem Izabeli Leszczyny złożyło na Górnickiego zawiadomienie do Naczelnej Izby Lekarskiej, uzasadniając podpierdolkę rzekomym brakiem staranności przy tak dużej liczbie konsultacji. Okręgowy rzecznik odpowiedzialności zawodowej w Warszawie wezwał lekarza do przedstawienia dokumentacji medycznej 15 pacjentek, ten jednak odmówił. W nagrodę za obywatelskie nieposłuszeństwo i etyczną postawę Górnicki otrzymał wniosek o ukaranie za nieprzedstawienie dokumentacji medycznej pacjentek i informację o rozprawie przed Okręgowym Sądem Lekarskim, która odbędzie się 10 października.

Tabletka „dzień po” to naturalnie nie aborcja, ale pisowsko-kościelne konsorcjum uważa, że tak.

Jeśli zatem za czasów Koalicji Obywatelskiej lekarz musi się kopać z moralnym koniem, jakim problemem będzie wsadzenie tego samego lekarza do ciupy pod rządami prawicy?

Nie lada tańce z prokuraturą regularnie odbywa dr Gizela Jagielska. W kwietniu br. Prokuratura Rejonowa w Oleśnicy wszczęła śledztwo w związku z podejrzeniem przerwania ciąży (legalnego) w szpitalu w Oleśnicy. Śledztwo wszczęto na fali doniesień medialnych, choć nikt nie złożył formalnie zawiadomienia.

W latach 2016–2023 szpital pod kierownictwem Jagielskiej wykonał ok. 511 aborcji, w tym w III trymestrze (siódmy i ósmy miesiąc). Żadna nie doprowadziła do wcześniejszego śledztwa, choć fundacje pro-life monitorowały i składały doniesienia, które umarzano.

Teraz dr Gizelę Jagielską czeka kolejna batalia. Lekarka zdecydowała się oferować swoim pacjentkom zabieg podwiązania jajowodów brzydko nazywany sterylizacją, medycznie – chirurgiczną antykoncepcją. Kaja Godek natychmiast zapowiedziała złożenie doniesienia do prokuratury przestępstwa „pozbawienia człowieka zdolności płodzenia”, co zarówno z medycznego, jak i prawnego punktu widzenia jest nieprawdą. Niemniej diabeł – jak zwykle – tkwi w interpretacji szczegółów.

Bije dzwon

Kiedy Koalicja Obywatelska zbudzi się za półtora roku z letargu i zechce kolejny raz wyciągnąć przedwyborczego pewniaka obiecanek o prawach kobiet, może się nie tylko okazać, że ręka jest w nocniku, ale tapla się w gównie po sam łokieć. Przykro było patrzeć na nieudolność rządu w tej materii przez ostatnie dwa lata. Zwykło się mawiać, że liberalizacja aborcji to temat zastępczy, że nie chodzi o bramkę, a o to, żeby piłka była w grze – to wszystko prawda. Mecz zaraz zostanie oddany walkowerem. Albo politycy od lewa do centrum się ockną, albo nie będzie czego zbierać.

I jeszcze jedno. Od stycznia przyszłego roku Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników będzie mieć nowego prezesa. Zostanie nim profesor Rafał Stojko, kierownik Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Zakonu Bonifratów pw. Aniołów Stróżów w Katowicach, oddziału Bonifraterskiego Centrum Medycznego polecanego przez – he, he – Instytut Ordo Iuris. Niby nie należy oceniać książki po okładce, ale czasem wiadomo, jaka będzie fabuła.

IDALIA DUBICKA

PLURALIS MAIESTATIS

Katar

Bełkota z dinozaurem w tle

W niedzielę 21 września gryzipiórki dorwały prezydenta Trumpa przed jego wylotem z Waszyngtonu do Arizony. Trump zapytany o to, czy USA pomogłyby Polsce i państwom bałtyckim, gdyby nastąpiła tzw. eskalacja działań ze strony Rosji, odpowiedział: „Zrobiłbym to”. A przynajmniej tak podała włoska agencja ANSA, a za nią – PAP. Jak na razie Szłapka nie wydał własnego komentarza…

W ogóle to ja odkryłam pytanie, którym cudownie wkurwia się rozmówcę. Brzmi ono: po co? Bóg mi świadkiem, że nadal nie wiem, po co Putin miałby zaatakować Polskę. Jasne, krew nie woda i wszystko może się zmienić, ale – po co?

Poczłapałam do osiedlowego kiosku po chusteczki higieniczne do smarczenia gluta – jako że mam katar. Taką dolegliwość, a nie państwo. A w kiosku

kioskarka czeka na dostawę zapałek i świec. I ma już listę tych, dla których owe świece i zapałki należy odłożyć. Po co? Na wypadek wojny.

Tak? To może od razu gromnice? Co ja tam wiem, co ja tam wiem… Z nosa mi leci. Oburzające!

Chlipię ja sobie zupę – na wzmocnienie. Ogórkową, bo niestety nie rosół, a przecież powinnam rosół. Stare żydowskie przysłowie mówi: „Jak Żyd ję rosół, to albo kura była chora, albo chory jest Żyd”. Cóż – akurat rosołu w pudełku nie było w sklepie. Bywa. Ale trzeba brać życie takim, jakim ono jest. Bo po co inaczej?

W każdym razie niedziela rano (21 września), Mama słucha porannej Zetki. Ja jem zupę, piję kawę, palę papierosa, maluję flamastrami dinozaury – to jest koloruję dinozaury w malowance antystresowej dla dorosłych. Trudne, ale daję radę! A przynajmniej do czasu, gdy łowię uchem z rzeczonego radia jakiś straszny bełkot…

Bełkot: „Przede wszystkim ten dom został zniszczony na skutek działań rosyjskich dronów. Takie są fakty. Drugi fakt jest taki, że Sławomir Cenckiewicz, szef biura BBN, wybrany przez Nawrockiego, po prostu nie jest dopuszczony do informacji, które są klauzulowane”. Ja: Maluję ogon dinozaura.

Bełkot: „Kancelaria Nawrockiego w tej sytuacji wybrała drogę skandalu politycznego i w mojej ocenie podważanie zaufania do Wojska Polskiego w tym momencie jest sprzeczne z polską racją stanu, służy Rosji”. Ja: Maluję grzbiet dinozaura.

Bełkot: „…jeżeli włamuje się do naszego domu złodziej, to jeżeli użyjemy czegoś do jego powstrzymania, to i tak odpowiedzialność za zniszczenia leży po stronie złodzieja”. Ja: dinozaur.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Bełkot: „Taka była konsekwencja działań. Żelazna logika w tej sprawie. Działania pana Bosackiego były bardzo skuteczne”. Ja: dinozaur.

Bełkot: „Prawda jest prosta. Jeżeli w tym momencie nie odpowiemy na prowokacje, to będą eskalowały. Odpowiedź powinna być w trzech obszarach: zwiększamy i mobilizujemy wojska przy kluczowych elementach, wprowadzamy sankcje oraz zdolność operacyjną. Decyzja o strzelaniu należy też do wojskowych, a nie tylko do polityków”. Ja: Trzy obszary? Oralny Waginalny? Analny? Papieros!

Kto to jest ten Bełkot? Sprawdzam w internecie, bo nie dosłyszałam nazwisk gości audycji „Siódmy dzień tygodnia w Radiu ZET”. Dobrze jest tak czasem nazwisk nie dosłyszeć – wtedy ani człowiek się nie uprzedza, ani nie faworyzuje… Bełkot, a właściwie Bełkota to Kamila Gasiuk-Pihowicz. Z partii Nowoczesna/PO. Prawniczka. Ekonomomiczka. Posłanka. Znana pod ksywą: Myszka Agresorka. To Kukiz tak ją określił. Ja to bym dała jej ksywę: „Won”. Kaczyński powiedział do niej: „Won” w sejmie w 2017 r., a ta go podpierdoliła z 212 kk… Pani prawnik, 212 kk to zniesławienie, znieważenie to 216 kk. A powiedzieć np. „von”, jak np. „Myszka von Agresorka”, to naprawdę się nie dało… Zdjęciami i filmikiem w 2024 r. Bełkota podpierdoliła członków KRS. Zarzut: oooooni palili papierosy! W kanciapie! Oprócz jarania, zdaje się Marlborasów, gapię się na chwytliwy filmik „Myszki Won” z miejsca występku – to i pomarańcze żarli… Fiuuu – donosiki, nagrania, ściśnięte pośladki, aby gówno nie wypadło… Cała Nowoczesna! W magazynie „Viva” z 21 lipca 2017 r. „Myszka Won” zwierzała się, że nie została lekarzem po mamusi, bo boi się widoku krwi… Aaa, fakt, na wojnie to krwi nie ma. Sepia płynie z żołnierzy tak jak z kałamarnic. „Żelazna logika w tej sprawie”. Posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz była swego czasu rzecznikiem prasowym partii Nowoczesna, jak teraz rzecznikiem prasowym rządu Tuska jest Adam Szłapka, przewodniczący Nowoczesnej. Taaa… Tak sobie myślę, że Unimil powinien zainwestować w reklamę: „Nie bądź nowoczesny, załóż gumę na instrument, bo każdy wie, co z myszki wyskoczy!”. W tej partii mają specjalny casting na trefy. No, mówię wam. Mówię wam – dinozaur, katar, zupa, papieros. Zdrowia!

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 96305d9817

O wewnętrznych gierkach i hipokryzji lewicowych partii oraz działaczy rozmawiamy z BEATĄ MACIEJEWSKĄ, byłą posłanką, autorką książki „Kulisy Lewicy”.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Za kulisami Lewicy

– Podobno ludzie nie powinni widzieć, jak się robi kiełbasę i politykę. Pani postanowiła pokazać kulisy tej drugiej. Po co? Żeby całkowicie zniechęcić Polaków do chodzenia na wybory?

– Rzeczywiście, jeśli chodzi o kiełbasę i politykę to proces ich tworzenia może być dla postronnych bulwersujący, okropny i okrutny. Ludzie chcą widzieć tylko ostateczny produkt, pachnący i ładnie zapakowany. Polska polityka jest bardzo brudna. Nie wiem jak w innych partiach, ale w Nowej Lewicy było naprawdę brutalnie. Rozdźwięk między ideałami, deklaracjami a tym, co się dzieje za kulisami, jest ogromny. Ciągłe wewnętrzne tarcia, kombinacje, walki o pozycje zabierają masę czasu i energii. W skrajnych momentach można to określić jednym słowem: degrengolada. Dochodzi do łamania statutu, rzucania pomówieniami, nagonek, fałszywych oskarżeń. Nie ma miejsca na sentymenty.

– Niektórzy twierdzą, że pani się po prostu mści na byłych kolegach, bo panią wycięli.

– Pewnie nie napisałabym tej książki, gdyby mnie w tak podstępny sposób nie wycięto z polityki. Nie chodzi jednak o sam fakt wycięcia, ale o to, że nie miałam możliwości obrony swojego dobrego imienia. Uważam że opinia publiczna zasługuje na to, żeby poznać moją perspektywę. Zostałam obrzucona błotem w konkretnym momencie politycznym i konkretnym celu. Pokazuję, jak to wyglądało z mojej perspektywy.

– Błotem obrzucił panią były bliski współpracownik, który zarzucał bardzo brzydkie, nielewicowe rzeczy, jak niepłacenie podatków czy złe traktowanie pracowników.

– Zrobił to były dyrektor biura poselskiego, który nagrywał mnie przez wiele miesięcy. Skrupulatnie katalogował nagrania, nadawał im numery i nazwy. Potem przetrzymywał je przez dwa lata. I na pół roku przed wyborami parlamentarnymi 2023 r. odezwał się do mnie – przy pomocy kancelarii prawnej. Twierdził, że źle się czuje, że mam mu dać satysfakcję. Jaką? Do dziś nie wiem. Przedstawicielka kancelarii od początku nie chciała mi dać niczego na piśmie, proponowała jedynie rozmowy. Zasłaniała się przy tym „dobrem Polski” – generalnie przedziwne podejście, bardzo podejrzane. W tym samym czasie ten były współpracownik dobijał się do liderów lewicy i mnie oczerniał. Naciskał na moich kolegów i koleżanki. Mogłam się wręcz poczuć zastraszana.

– I jak to się skończyło?

– Skończyło się tym, że nie mogłam wystartować w wyborach w 2023 r. Po prostu ten atak mi to uniemożliwił. Prokuratura miesiącami prowadziła skrupulatne dochodzenie, sprawdziła dokumenty, przesłuchała taśmy, świadków i nie postawiono mi żadnych zarzutów. Mój były współpracownik chciał mi zaszkodzić, więc starannie wybierał pasujące mu fragmenty naszych prywatnych rozmów. Nagrał tego 36 godzin, było w czym wybierać. Nie chodziło o sprawiedliwość, ale o to, żebym zniknęła z polityki.

– Z lubością obnażamy hipokryzję prawicy, tymczasem z „Kulisów Lewicy” wynika, że po lewej stronie jest tak samo, jeśli nie gorzej.

– To jest w tym bardziej przerażające. Przedstawiciele Nowej Lewicy mówią o równości, sprawiedliwości, uczciwości, tymczasem ich metody i zachowania nie różnią się niczym od prawicowych. Nawet ten piętnowany u pisowców nepotyzm nie jest obcy liderom Nowej Lewicy. Przykładem choćby Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek w Europarlamencie. Wiosna Biedronia była moim zdaniem projektem obliczonym na zdobycie tych dochodowych mandatów. Oprócz Biedronia i Śmiszka europosłanką została też – wcześniej – Sylwia Spurek, żona jednego z najważniejszych ludzi w partii. Pozostali działacze byli jedynie trampoliną dla lidera i jego przybocznych.

– Może po prostu taka już ludzka natura i poglądy tu nie mają nic do rzeczy...

– Nie wydaje mi się, że chodzi o ludzką naturę, raczej o mechanizmy polityczne. System partyjny tak działa, że setki albo i tysiące ludzi podlegają kilku facetom, którzy tworzą swoje dwory. Klakierzy zebrani na tych dworach dbają o swoje interesy, a nie o dobro całej partii, czy tym bardziej Polski. Ordynacja wyborcza sprawia, że szeregowi działacze są całkowicie zależni od wodzów, co prowadzi do różnych patologii. Prominentni działacze zawdzięczają swoją pozycję nie własnym umiejętnościom politycznym czy talentom organizacyjnym, ale wchodzeniu w tyłek przywódcom.

– Ale czy np. to, że Anna Maria Żukowska rzuca mięsem w komunikatorach, jest wystarczającym potwierdzeniem tezy o moralnym upadku lewicy?

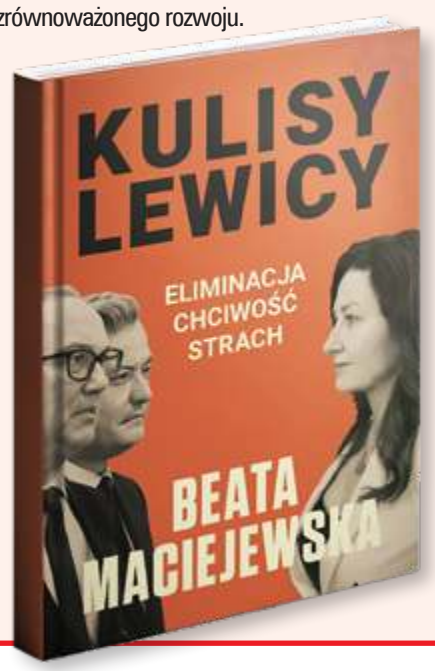
– Jeśli pan przywołuje ten przykład, to trzeba podkreślić, że nie była to prywatna pogawędka między politykami. To była rozmowa między wysoko postawioną polityczką a nowym pracownikiem. Ryba psuje się od głowy. Podobnie nie podobało mi się pisanie niezbyt kulturalnych SMS-ów do prof. Senyszyn, której dorobek i autorytet na lewicy nie są kwestionowane. Czarzasty w takich ludziach widzi zagrożenie, a nie szanse dla swojej formacji. Woli otaczać się lojalnymi pochlebcami. Zresztą sam jest w polityce parlamentarnej nowicjuszem, po raz pierwszy wszedł do sejmu w 2019 r.

– Książka zaczyna się mocnym oskarżeniem wobec Andrzeja Szejny, byłego wiceministra spraw zagranicznych.

– Opisuję historię młodej kobiety, która została dotkliwie pobita i na pewnym etapie twierdziła, że przez niego właśnie, i tę informację wysyłała do różnych osób, w tym działaczy partyjnych. Potem informowało o tym kilka innych wiarygodnych osób. Pobita kobieta znalazła się na szpitalnej izbie przyjęć, jest z tego cała dokumentacja medyczna. Dziś zaprzecza, że taka sytuacja miała miejsce.

Beata Maciejewska

Była wiceprzewodnicząca klubu parlamentarnego Lewicy i wiceprzewodnicząca Nowej Lewicy. Jedna z najbardziej aktywnych i kontrowersyjnych posłanek IX kadencji Sejmu. Pracowała w komisjach ds. energii i gospodarki, kierowała Parlamentarnym Zespołem ds. Legalizacji Marihuany. Wcześniej pełnomocniczka ds. zrównoważonego rozwoju w Słupsku oraz szefowa gabinetu prezydenta Roberta Biedronia. Współtworzyła partię Wiosna. W 2019 r. otworzyła gdańską listę wyborczą lewicowej koalicji, zdobywając ponad 23 tys. głosów. Jej działalność polityczną przerwało ujawnienie przez byłego współpracownika nagrań jej wypowiedzi zarejestrowanych bez jej wiedzy i zgody, które później uznano za zmanipulowane i niewiarygodne. Skandal ten uniemożliwił jej start w wyborach parlamentarnych w 2023 r. Działaczka społeczna, współtwórczyni Zielonego Instytutu i założycielka Fundacji Przestrzenie Dialogu. Od lat angażuje się w projekty dotyczące praw kobiet, równości, ochrony zwierząt, energetyki i zrównoważonego rozwoju.



– Nie tylko zaprzecza, ale i zarzuca pani kłamstwo. „Przeciwko byłej posłance Beacie Maciejewskiej złożyłam prywatny akt oskarżenia. Sprawa będzie miała swój finał w sądzie i ma już sygnaturę, sprawę prowadzi Sąd Rejonowy dla Warszawy-Woli w Warszawie, III Wydział Karny. Ta kobieta świadomie kłamie na mój temat” – pisała niedawno na platformie X.

– Póki co, nic z żadnego sądu nie dostałam, choć od marca czytam o tym akcie oskarżenia. Grożenie sądem nie ominęło też innych osób, które się na ten temat wypowiadały, ale jak na razie na deklaracjach się skończyło. Trudno mi się odnieść do czegoś, o czym nie mam pojęcia. Zwłaszcza że nie wypowiadałam się na temat tej pani, a jedynie cytowałam słowa osoby, której ufałam. Mam wszystko udokumentowane i nie obawiam się procesu. Dla mnie ta sprawa dotyczy przede wszystkim wysoko postawionego polityka, którego historia pokazuje jak w soczewce hipokryzję i zdegenerowanie tego środowiska. Były wiceminister to jaskrawy przykład, ale tu nie chodzi o jednostki.

Zepsuty jest cały aparat. Co gorsza, nie dotyczy to tylko mężczyzn, ale także posłanek, które mają na ustach pełno frazesów o siostrzeństwie, feminizmie itd., a przymykają oczy na krzywdę kobiet. Robią to wszystko, przed czym przestrzegały i z czym miały walczyć.

Przykro się patrzy na to, że feministki stają po stronie faceta, wobec którego są naprawdę poważne wątpliwości. Żadna z nich się nawet ze mną nie kontaktowała, żeby zapytać, dlaczego ja to wszystko robię, jakie mam dowody. Zero odzewu.

– Nie widać też spektakularnych ustawowych efektów działalności obrończyń praw kobiet. Aborcja, związki partnerskie – gdzie to wszystko jest?

– Postulaty może i niezałatwione, ale są stołki. Oczywiście to nie jest tak, że lewica nie ma żadnych sukcesów, ale te sztandarowe postulaty przepadły. A żadna z kobiet nie zostanie przecież szefową Lewicy, skutecznie uciszono je stanowiskami. Ludzi w partyjnych dołach ma wyłącznie Czarzasty i nie są to osoby, którym zależy na realizacji postępowych postulatów. Magda Biejat może być kandydatem na prezydenta, ale nie ma żadnego znaczenia politycznego, bo nie ma żadnych struktur. Jest kwiatkiem do stęchłego kożucha.

– Ten kożuch ma się całkiem nieźle. Andrzej Szejna może i nie jest wiceministrem, ale bryluje w mediach. Włodzimierz Czarzasty niedługo pewnie zostanie marszałkiem sejmu, a niewykluczone, że po raz kolejny szefem Lewicy.

– To tylko potwierdza moją tezę, że na te układy nie ma rady. W przypadku Szejny zadziałała popularna w polskiej polityce metoda na przeczekanie. Każdy polityk, który zrobi czy powie coś głupiego, czeka tylko na wpadkę kolegi lub koleżanki, która przykryje jego wtopę. A świat dzisiaj tak pędzi, że okres karencji zdecydowanie się skrócił.

– Nie uważa pani, że swoją publikacją zniechęci idealistów do angażowania się w politykę? Przecież to jedno wielkie bagno, z którego nikt nie wychodzi czysty.

– Rzeczywiście, zwłaszcza młodzi ludzie mogą się poczuć oszukani i zdradzeni, choć z ich energii politycy chętnie korzystali przed wyborami. Mnie nigdy nie interesowała wojna Tuska z Kaczyńskim, a jedynie realizacja konkretnych postulatów, z którymi szłam do sejmu. Ale ten zabetonowany system jest silny i trwa. Wierzę jednak, że można go rozbić. Już czas! Powstają nowe inicjatywy, ludzie są zmęczeni uczestniczeniem w cudzych wojnach. Na scenie politycznej pojawiają się nowe, często niezależne twarze. To jest nadzieja. Czas rozbić ten beton.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 96305d9817

Mięso armatnie Netanjahu to nie tylko Palestyńczycy

Great Israel Cemetery Real Estate

Była izraelska zakładniczka Ilana Gritzovsky w udzielonym 18 września wywiadzie dla izraelskiej rozgłośni Army Radio oskarżyła premiera Binjamina Netanjahu o wydanie rozkazu zabicia zakładników przetrzymywanych w Gazie poprzez kontynuowanie planu zajęcia miasta. Gritzovsky była jedną ze 109 zakładników zwolnionych w listopadzie 2023 r. w ramach umowy wynegocjowanej przez Egipt, Katar i USA, która doprowadziła również do uwolnienia 240 Palestyńczyków i zezwolenia na wjazd szczątkowej pomocy humanitarnej do Gazy.

Antysemityzm

Według szacunków Izraela w Gazie pozostaje 48 zakładników, z czego ok. 20 osób uznaje się za żywe. W podobnym tonie co Gritzovsky wypowiadają się izraelscy liderzy opozycji i rodziny pozostałych porwanych i przetrzymywanych przez Hamas. Oskarżają Netanjahu o przedłużanie wojny dla przetrwania politycznego, bo jak słusznie koncypują, jakakolwiek próba wycofania się z Gazy oznaczałaby rozpad jego koalicji i długie wakacje w kiciu dla samego premiera.

Szef sztabu armii izraelskiej Eyal Zamir, który dowodzi operacją w Strefie Gazy, starł się w Knesecie z samym Bibim i o dziwo całkiem zdroworozsądkowo stwierdził, że wybicie wszystkich bojowników Hamasu jest zwyczajnie niemożliwe, a do tego paskudnie kosztowne. Armia Izraela straciła w ciągu dwóch lat (według oficjalnych szacunków) blisko 400 żołnierzy, a 20 tys. uczestniczących w operacji rezerwistów powróciło do ojczyzny w stanie, który – delikatnie mówiąc – nie pozwala na normalne życie. Zamir wyłożył czarno na białym, że wyłuskanie zakładników w toku walk wojennej zawieruchy to mrzonka. Trudno posądzać naczelne dowództwo o sympatię do Hamasu, ale Bibi ma to w dupie.

Hamasizm

Jak zauważył profesor Menachem Klein, politolog i specjalista od stosunków na Bliskim Wschodzie z Uniwersytetu Bar Ilan w izraelskim Ramat Gan, celem Izraela nie jest uwolnienie zakładników, ale fizyczne zniszczenie całej infrastruktury w Strefie Gazy i wypchnięcie tych Palestyńczyków, którzy będą mieli puls, do innych krajów arabskich. W jego ocenie Netanjahu nie zależy na uwolnieniu zakładników, bo ich powrót w najlepszym razie utrzymałby nienawiść Izraelczyków do obywateli Palestyny na aktualnym poziomie (ok. 80 proc. mieszkańców Izraela żywi uczucia dalekie od sympatii do sąsiadów),

a śmierć uprowadzonych przez Hamas zwyczajnie pozwoliłaby rozkręcić szajbę izraelskiego nacjonalizmu do oporu.

Amerykański politolog John Mearsheimer uważa z kolei, że choć Bibi póki co nie ogłosił oficjalnie swoich zamiarów, cele Izraela zostały już niejako nakreślone: wypędzenie Palestyńczyków ze Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu, osłabienie wszystkich arabskich krajów w regionie na tyle, żeby nie były w stanie przeciwstawić się izraelskiej polityce militarnej, gospodarczej i wojskowej, a w dalszej perspektywie zajęcie południowego Libanu, Syrii i stworzenie wielkiego Izraela.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Wiewiórki donoszą, że Netanjahu konsultował swój mokry sen z ministrem spraw zagranicznych USA Markiem Rubio.

O tym, że zakusy Bibiego to nie czcze pierdolenie po kątach, może świadczyć wywiad izraelskiego ministra finansów Bezazela Smotricha dla BBC z 18 września, w którym opisał Strefę Gazy jako potencjalną żyłę złota w kontekście rozwoju nieruchomości i podziału terenu po wojnie, wspominając o pertraktacjach w tym zakresie z USA. Na marginesie, faszyzujący koalicjant premiera Netanjahu Itamar Ben-Gwir wspominał o tych planach niejednokrotnie, a w izraelskich mediach królują ogłoszenia o doskonale płatnej pracy dla operatorów buldożerów w Strefie Gazy (350 euro, praca w godz. 8–16, wyżywienie, nocleg i transport).

Lewactwo

Izrael na przekór fikołkom Hasbary staje się coraz bardziej osamotniony na arenie międzynarodowej. 21 września Wielka Brytania, Kanada, Australia i Portugalia zaakceptowały państwowość Palestyny podwyższając tym samym liczbę krajów uznających to państwo do 151 na 193 członków ONZ. Podobne kroki w najbliższym czasie planują Francja, Belgia, Malta i Nowa Zelandia. Izrael nazwał te ruchy „nagrodą dla terroryzmu".

Norweski państwowy fundusz majątkowy (Statens pensjonsfond utland), największy tego typu na świecie, usunął niedawno ze swojego portfela 23 izraelskie firmy powiązane z terytoriami okupowanymi i operacją militarną. Izrael powoli staje też w obliczu częściowego lub całkowitego embarga na dostawy broni ze strony Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Włoch, Hiszpanii i innych krajów. 17 września Komisja Europejska ogłosiła propozycję zawieszenia niektórych preferencyjnych klauzul handlowych w umowie stowarzyszeniowej UE–Izrael, co oznaczałoby nałożenie ceł na towary wartości ok. 5,8–6,9 mld euro (głównie importy do UE), oraz sankcje indywidualne wobec Ben-Gwira i Smotricha.

Smotrich wierzy jednak w „biblijną ekonomię": jeśli ktoś postępuje wedle woli Boga, Bóg w zamian obdarza go obfitością.

Z doniesień izraelskiego wywiadu wynika, że Hamas jako organizacja polityczna już nie istnieje. Samobójczą walkę będą prowadzić tylko pojedyncze kompanie i grupy. Wiele wskazuje na to, że imperialistyczno-faszystowska zaciekłość Netanjahu rozpęta kolejną pełzającą wojnę na Bliskim Wschodzie, a jej skutki będą dalece gorsze niż tragedia ludobójstwa w Gazie.

IDALIA DUBICKA

Ich ukochany faszysta

Ludzie lubią faszyzm, bo mogą sobie wybrać kozłów ofiarnych i traktować ich z okrucieństwem.

GADMAN

Cóż, już w 2022 r. mogliśmy przeczytać takie proroctwo: „Czeka nas katastrofa. Europa musi się przygotować na faszystowską Amerykę". Prorokował Jason Stanley, wtedy profesor amerykańskiego Uniwersytetu Yale, autor siedmiu książek, wśród nich monografii „Jak działa faszyzm", specjalizujący się w problematyce faszyzmu, filozofii propagandy, filozofii języka.

Profesor Stanley, z pochodzenia amerykański Żyd z polskimi korzeniami, czyli potomek narodu proroków, niedawno wyemigrował z USA do Kanady. Podobnie jego rodacy w latach 30. XX w. emigrowali z III Rzeszy do Austrii, Czechosłowacji, Polski. Szczęściarze – do USA. Dziś profesor Stanley może jeszcze w Polsce publikować swe książki.

W tym roku „Wymazywanie historii. Jak faszyści manipulują przeszłością, by kontrolować przyszłość" opublikowało Wydawnictwo Krytyki Politycznej. Może też udzielać wywiadów nawet w prasie liberalnej. Niedawno zbulwersował czytelników „Dziennika Gazety Prawnej" odważną deklaracją: „Już żyjemy w faszyzmie".

Punkt siedzenia



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Polscy czytelnicy, przyzwyczajeni są do dogmatu głoszącego, że USA jest przywódcą wolnego, demokratycznego świata. Dlatego nadal z niedowierzaniem przyjmują krytykę tego „najlepszego ze światów". Przełkną jeszcze często zarzucany USA rasizm, gangsteryzm, a ostatnio nieprzewidywalny trumpizm. Ale diagnoza, że faszyzm może zagnieździć się w społeczeństwie uważanym za genetycznie demokratyczne, nie mieści się w tradycyjnej polskiej głowie.

Czemu tak jest, profesor Stanley wyjaśnia: „Wy, mieszkańcy Europy Środkowej, żyliście w złudzeniach na temat Ameryki. Związek Radziecki miał rację: Stany Zjednoczone w swojej istocie są państwem policyjnym opartym na supremacji białych; państwem zbudowanym na niewolnictwie. Nie staliśmy się w pełni demokracją do uchwalenia ustawy o prawach wyborczych w 1965 roku (zakazała ona dyskryminacji rasowej w dostępie do głosowania). Dwa lata przed moim urodzeniem małżeństwa mieszane były jeszcze nielegalne.

U was panuje przeświadczenie, że jeśli coś mówił Związek Radziecki, to na pewno jest to kłamstwem. To zrozumiałe, sowieci byli w Europie Wschodniej okrutnym, brutalnym okupantem. Ale to, co mówili o Stanach Zjednoczonych, było w dużej mierze prawdziwe.

Rozmowy z dziennikarzami z Ameryki Łacińskiej wyglądają zupełnie inaczej. Ich punkt widzenia jest taki: interwencje kolejnych prezydentów USA kończyły się obaleniami naszych demokracji i zastąpieniem ich dyktaturami. Dla nich Stany Zjednoczone nie są krainą wolności. Dla nich jesteśmy tym, czym dla was jest Rosja".

Demokracja policyjna

Profesor Stanley przypomina zakochanym w Stanach Zjednoczonych Polakom, że USA zajmują czwarte miejsce na świecie pod względem odsetka więźniów na 100 tys. mieszkańców: „Według danych Prison Police Initiative dziewięć amerykańskich stanów ma współczynnik inkarceracji wyższy niż Kuba. Prześciga je tylko Salwador. W zakładach karnych w Kansas siedzi większy odsetek populacji niż w Turkmenistanie. W 1969 roku, roku mojego urodzenia, cała populacja więzienna była mniejsza niż liczba osób, które obecnie odbywają karę dożywocia".

Profesor Stanley uważa, że dzieje się tak, bo kiedy „czarni Amerykanie dostali możliwość udziału w wyborach, biali potrzebowali jakiejś metody kontroli, aby wykluczyć czarnych ze społeczeństwa i pozbawić ich prawa głosu. USA są jednym z niewielu krajów na świecie, w których więźniowie nie mogą głosować. W niektórych stanach tracą prawo wyborcze nawet dożywotnio".

Dlatego nie powinno zakochanych Polaków dziwić, że amerykańscy liderzy praw obywatelskich, jak znana kiedyś w Polsce Angela Davis, sympatyzowali z komunistami. Co zakochani w USA Polacy nadal uważają za zbrodnię.

Nacjonalizm, rasizm, faszyzm

Amerykański faszyzm wyrósł na glebach mieszanych. Nacjonalizmu i rasizmu. Sięgając do jego korzeni, profesor Stanley przypomina: „Marks się mylił, przewidując, że nacjonalizm nie będzie potężną siłą. Łatwo zrozumieć, dlaczego – żył w XIX wieku, kiedy światem rządziły imperia.

Aż nagle ludzie zaczęli się dzielić na narody. Poddani Habsburgów stali się Polakami, Ukraińcami, Czechami itd. Wyznawali tę samą lub podobną religię i łączyły ich związki rodzinne, ale różnił ich język.

XX wiek pokazał nam, że nacjonalizm jest potężna, bronią w rękach autokratów. Wszystkie tożsamości są sztuczne. Stworzyliśmy je i stały się one sensem naszego życia".

W USA formalnie nie ma narodowości. Wszyscy są obywatelami – Amerykanami. Z flagą USA na podwórku. Choć z różnymi i licznymi korzeniami narodowymi. Pewnie dlatego „w Ameryce głównym kryterium jest rasa". Ważniejszym czasem niż pochodzenie klasowe, status materialny, miejsca zamieszkania.

Nie dziwmy się więc, że w USA ubodzy biali obywatele stają przeciwko ubogim czarnym obywatelom. W interesie bogatych białych i czarnych też. Dzieje się tak – wyjaśnia profesor Stanley – bo amerykańscy politycy wzbudzili w nich lęk, że biedni biali stracą swe skromne przywileje na rzecz też biednych czarnych. Nie dostrzegają zła w amerykańskiej klasie panującej.

Przypomina mi to wydarzenia w dniach poprzedzających wybuch I wojny światowej, kiedy francuscy deputowani socjalistyczni głosowali za kredytami wojennymi, argumentując, że francuscy robotnicy mogą strzelać do rosyjskich robotników, bo tamci są przecież nieokrzesanymi Azjatami.

Uwikłani w spory prawne

„Faszyzm, podobnie jak każda inna forma autokracji, tworzył podział na »my« i »oni«. Wyzwala w ludziach strach przed innymi i się nimi żywi. Snuje narracje w stylu: geje nie tylko chcą zawierać małżeństwa, ale chcą też »nawracać« wasze dzieci na homoseksualizm. Musicie się ich bać" – tak charakteryzuje współczesny amerykański faszyzm profesor Stanley. Uważa też, że ludzie lubią faszyzm, „bo mogą sobie wybrać kozłów ofiarnych i traktować ich z okrucieństwem". Dlatego chcą zobaczyć, jak znani z amerykańskich mediów intelektualiści i celebryci, którzy ich zdaniem uważają się za lepszych, muszą teraz płaszczyć się przed Trumpem. Kochają za to Trumpa i wybaczają mu nawet to, że zabrał im ubezpieczenie zdrowotne.

Profesor Stanley protestuje przeciwko zastępowaniu w języku politycznym złowrogiego słowa „faszyzm" milej brzmiącym „populizmem". Zauważa, że prezydent Trump już zaczął niszczyć amerykańskie związki zawodowe. Po dojściu do władzy nakazał agencjom federalnym ignorować pracownicze układy zbiorowe. Zapewne w ich ślady pójdą prywatne firmy. Podobnie uczynił kanclerz Hitler, który spory niemieckich kapitalistów z pracownikami oddał w kompetencje swej administracji państwowej.

Oczywiście amerykański współczesny faszyzm różni się od znanych nam europejskich. W USA nie pakuje się opozycji do znanych w Europie obozów koncentracyjnych. Jeszcze nie trzeba. Za to rządząca tam władza pakuje wszelką opozycję w spory prawne. Stanley przypomina, że w USA za godzinę pracy dobrego prawnika trzeba zapłacić przynajmniej 500 dol. To już jest drogo. Gorzej bywa, kiedy zostaniemy wciągnięci w dłuższe procesowanie się. Nikogo już nie dziwi, że w Stanach standardowy rozwód może kosztować 100 tys. dol.

„Jeśli staniesz na drodze Trumpa, to będziesz musiał wydawać miliony dolarów na spory prawne. I choćbyś wygrał swój proces, tych pieniędzy nie odzyskasz" – przestrzega profesor Stanley już z kanadyjskiej emigracji. Bo ostateczna wymierzona ci kara nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia, czy w końcu trafisz do więzienia, czy po latach zostaniesz uniewinniony. Najdotkliwsza kara polega na tym, że zaczynając procedury procesowe, wpadasz w otchłań ich kosztów i w ich efekcie możesz swe oszczędności stracić. Dlatego obywatele USA boją się protestować. Zwłaszcza że administracja Trumpa robi już propagandowe pokazówki. Wysyła wojsko nie tylko do państw Ameryki Łacińskiej, co w USA było normalką, ale też do „zbuntowanych" miast i stanów.

Ostatnio prezydent RP i premier RP zgodnie przypomnieli mi, że polską ojczyznę mam kochać i szanować. Szanować mam też sojusznicze USA. Niezależnie od tego, co o nich naprawdę myślę. Bo najważniejszym naszym wrogiem jest Rosja z faszystowskim reżimem prezydenta Putina.

Wygląda na to, że dobry, bo daleki geograficznie amerykański faszysta ocali mnie przed faszystą geograficznie mi bliższym. Chyba że wyemigruję do Kanady.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 96305d9817

U progu nowego humanizmu

Święta, czy przeklęta?



Rys. WIDGET

Zajmuję się sztuczną inteligencją mniej lub bardziej od 11 lat, choć sama koncepcja powstała, jeszcze zanim przyszedłem na świat. Nie byłem nigdy fanatycznym wyznawcą kodu. Raczej obserwatorem, który zamiast lutować kable, wolał opisywać, jak rodzi się z nich nowy potwór cywilizacji. Pisałem felietony, w których smagałem satyrycznym batem tę dziwną, wyłaniającą się z bebechów serwerów technologię. Dziś mogę z czystym sumieniem przyznać, że w dużej mierze się myliłem.

Przełom, którego nie widać

Mamy przełom. Mamy rewolucję. Świat się zmienił. Z wierzchu – jakby nic: to samo słońce, ci sami sąsiedzi na klatce, a człekokształtne blaszane małpy jeszcze nie rządzą nami z telewizora. Ale pod spodem – lekko nie będzie.

Dlaczego? Bo sztuczna inteligencja to technologia podobna do antybiotyków. Kiedy się pojawiły, ratowały dzieci z zapaleniem płuc, ale też przedłużały życie bandytom, których normalnie załatwiłaby zakażona rana. AI działa identycznie – nie rozróżnia między dobrym a złym człowiekiem. Jednych i drugich karmi tym samym chlebem informacji podawanym z szybkością Pendolino.

Efekt? Dobro i zło przyśpieszyły równocześnie. Tak samo fałsz i prawda – przy czym ten pierwszy, jak zwykle, wyprzedza drugą o trzy obroty Ziemi. A co najgorsze, wie o tym tylko garstka ludzi. Reszta tkwi w błogim samozadowoleniu ignorancji, jakby świat wciąż kręcił się w rytmie „Dziennika Telewizyjnego", kiedy wiadomości przychodziły raz dziennie i to w dwóch kolorach: czarnym i białym.

Rozprawmy się z mitem: „Sztuczna inteligencja odbierze ludziom pracę". To oczywiście nonsens. W powszechnym wyobrażeniu istnieje jakaś określona pula roboty, która czeka na wykonanie – jak worek kartofli na obieranie. I jak przyjdzie AI, to zacznie obierać szybciej i człowiek zostanie bez noża i bez zajęcia. Niestety nie, praca jest nieskończonym zasobem. To raczej jak Hydra z mitologii: zetniesz jedną głowę obowiązku, a odrastają trzy kolejne – i każda ma w dodatku swój własny regulamin. Nawet jeśli coś uda się zrobić sto razy szybciej, to zaraz okazuje się, że przybyło tysiąc nowych rzeczy do zrobienia.

Prawdą natomiast jest, że sztuczna inteligencja może pozbawić ludzi pracy płatnej. Dlatego, że ilość tej płatnej roboty jest rzeczywiście ograniczona ilością i szybkością, z jaką pieniądz krąży w gospodarce.

Rozwój firmy kontra rozwój Excela

Na pierwszy ogień idą ci, którzy wykonywali pracę z pozoru intelektualną, a w rzeczywistości polegającą na przewijaniu tej samej taśmy informacyjnej: raporty, zestawienia, tabelki, notatki ze spotkań, które różniły się od poprzednich jedynie datą i numerem strony. To właśnie oni zostaną w imię szlachetnego trendu „optymalizacji kosztów" przesunięci poza margines zarobkowania. Za drzwi, najlepiej obrotowe, żeby ładnie wyglądali w kamerach monitoringu.

Zaczyna się dramat. Bo ci ludzie, wcale nieszczególnie kreatywni, nie mając nawyku wymyślania czegokolwiek, nagle lądują na lodzie. A pracodawca? Pracodawca nie rozwija firmy – rozwija tylko swój arkusz w Excelu, w którym każda oszczędzona złotówka świeci się zielonym kolorem. Rozwój wymaga pomysłów, a optymalizacja wymaga tylko kalkulatora i chłodnego serca. A ponieważ wszyscy kapitaliści myślą tak samo, mamy klops.

Setki tysięcy ludzi, którzy dotąd żyli z zawodowego powtarzania cudzych zdań, zostają z umiejętnościami, które dziś są równie cenne jak umiejętność obsługi magnetofonu szpulowego.

Groteska polega na tym, że oto AI okazała się nie genialnym filozofem, ale mistrzem powtarzania banałów, dystansując swoich wykonanych z białka protoplastów. Padną całe zastępy specjalistów od pustosłowia, którzy dotychczas żyli z recytowania formułek i udawania, że przestawianie przecinków w dokumentach to sztuka wysokiej rangi. Doradcy podatkowi, którzy nie wymyślają genialnych machinacji, tylko przesuwają faktury z jednej szuflady do drugiej. Kancelarie adwokackie od zakładania spółek, gdzie każda umowa wygląda identycznie, a jedyną zmianą jest nazwisko nowego prezesa. Do tego dochodzą specjaliści od RODO powtarzający w nieskończoność mantrę o zgodzie na przetwarzanie danych i trenerzy personalni on-line, którzy sprzedają w dresie poradnik w stylu: „pij wodę, śpij i zrób dziesięć pompek".



Rys. WIDGET

Swoje pięć minut mają już za sobą specjaliści od social mediów latami kopiujący cudze memy i wklejający je na firmowe fanpage'e. Agenci ubezpieczeniowi tłumaczący klientom, że „to standardowa klauzula wyłączenia odpowiedzialności", eksperci od certyfikacji ISO, którzy całe życie spędzili na tresowaniu firm w wypełnianiu formularzy bez znaczenia, oraz redaktorzy newsletterów korporacyjnych produkujący z nabożeństwem trzy strony o tym, że „udało się wdrożyć nową kulturę współpracy". Na deser specjaliści od HR, których największym talentem jest wysyłanie automatycznej odmowy z formułką „Twoje CV było imponujące, ale tym razem nie możemy cię zatrudnić".

Czy człowiek przeżyje utratę bezsensu?

Oczywiście jeszcze przed wynalezieniem sztucznej inteligencji cała ta armia zawodowych rozmówców i przepisywaczy była balastem dla społeczeństwa. Wykonywali coś, co David Graeber nazwał „pracą bez sensu" i co rzeczywiście uwłacza godności człowieka.

Bo jeśli matka natura przez miliony lat selekcji, prób i błędów doprowadziła do powstania istoty zdolnej do myślenia, tworzenia i marzeń, to trudno nazwać triumfem ewolucji fakt, że jej potomek przez całe życie przekleja tabelki w Excelu albo recytuje klientom na infolinii mantrę „proszę czekać na linii".

Do tej pory ten absurd miał przynajmniej pozór użyteczności – ktoś za niego płacił. Ale sztuczna inteligencja obnażyła go do cna. Pokazała, że cały ten cyrk był potrzebny tylko dlatego, że nie mieliśmy tańszego klauna. A teraz, gdy pojawił się klaun cyfrowy – bez urlopu, bez składek ZUS i bez potrzeby motywacyjnych szkoleń – ludzki kuglarz będzie wyrzucony za kulisy. I, co gorsza, pozbawiony środków przetrwania.

Wyobraźcie sobie armię, której odebrano wojnę. Co się dzieje z tysiącami żołnierzy, którzy całe życie ćwiczyli maszerowanie i strzelanie, a nagle dowiadują się, że mają siedzieć w domu i uprawiać kwiatki? Oni wariują. A co stanie się z milionami biurowych paranoików, którzy przez dekady trenowali obsesję „kontroli dokumentu", a teraz zostali wyzwoleni z tej paranoi wbrew własnej woli? Czy człowiek potrafi żyć bez swojej bezsensownej roboty? Może się okazać, że odebranie mu absurdu to najokrutniejszy prezent, jaki dała nam sztuczna inteligencja.

Obecne badania i szacunki, bazujące głównie na ankietach, deklaracjach i teoretycznych modelach, pokazują obraz alarmujący i tragiczny. Raport NASK z czerwca 2025 r. wylicza, że około 30 proc. stanowisk pracy w Polsce – czyli jakieś 5 mln – może zostać częściowo przejętych przez sztuczną inteligencję. Z tej armii ok. 817 tys. ludzi stoi wręcz na krawędzi przepaści, w zawodach o bardzo wysokim ryzyku automatyzacji. Pracownicy biurowi? Według raportu ponad 71 proc. ich zadań da się zautomatyzować.

Czyli mamy 2 mln ludzi, którzy nie mają co ze sobą zrobić, i problem: czy kapitalizm ma ochotę utrzymywać własnych bezrobotnych? Historycznie rzecz biorąc – nie. Kapitalizm woli, żebyś był tani, zmęczony i dostępny na zawołanie. Ale dziś oznacza to jedno: kapitalizm musi zmienić swoje myślenie i to natychmiast, zanim dawni pracownicy biur i help desków zaczną przegryzać światłowody i topić szafy serwerowe typu Rack w bunkrach data center pod Hotelem Marriott. (Błagam, tylko nie tam – tam dyrektorski stołek grzeje mój brat z Equinix Inc.).

Kapitalizm – choć bez serca, kurwa mać – musi wreszcie zrozumieć, że lepiej płacić za cudze przeżycie niż patrzeć, jak cudzy głód demoluje twój własny jacht. Nie ma innego wyjścia: sejm i przyszłe rządy muszą wymyślić nowy kontrakt społeczny między pracującymi a bezużytecznymi.

Kapitalizm musi się zmienić albo zginąć

A zatem jeżeli kapitalizm albo przyszły premier zapytałby mnie: „są jakieś pomysły?", odpowiedziałbym tak: Po pierwsze, jeżeli właściciele fabryk, producenci prądu i traktorów nie rzucą okruszków masom, to masy rzucą się na nich. Dlatego wprowadźcie dochód podstawowy. Ale uwaga: nie nazywajcie go tak, bo brzmi zbyt uczciwie. Nazwijcie sprytnie – a na tym akurat się znacie najlepiej – bon kreatywności albo kredyt na innowację osobistą. Niby wsparcie, a w praktyce kieszonkowe dla bezrobotnych, żeby mogli spokojnie rzeźbić w plastelinie, pisać haiku o chlebie i nie demolować banków w ramach ekspresji artystycznej.

Po drugie, ci, którzy pracują i zarabiają, muszą wreszcie zrozumieć, że „nieroby" to wcale nie darmozjady, tylko… publiczność. Po co pisać poemat, komponować muzykę albo wymyślać kolejną aplikację do przypominania o podlewaniu kwiatków, jeśli nikt tego nie ogląda? Ktoś musi konsumować, lajkować i klaskać. To oni – 2 mln „bezrobotnych" – stają się nagle najcenniejszym kapitałem: masą uwagi. Zawodowi słuchacze, widzowie, czytelnicy, którzy w ramach nowego kontraktu społecznego dostają wspomniane „bony na kreatywność" i płacą z nich po 50 gr od seansu. Tak powstaje nowa gospodarka oparta na uwadze – teatr, w którym każdy potrzebuje widowni, a najważniejszą walutą jest głośność oklasków.

Po trzecie, wchodzimy w rejony gospodarki absurdu. Coś na kształt warsztatów terapii zajęciowej, tylko dla umysłowo zdrowych, inaczej dawnych pracowników biurowych.

Obecnie dzieci z zespołem Downa lepią, malują i majsterkują, a ich dzieła z całą czułością pakowane są w pudełka, po czym po cichu lądują w kontenerze za rogiem. My możemy zrobić to samo, tylko bardziej elegancko.

Tworzymy specjalne sanatoria dla byłych specjalistów od RODO i HR. Ośrodki opiekuńcze, w których od rana do wieczora można przybijać pieczątki na pustych kartkach i wypełniać formularze z rubryką „inne uwagi" zawsze pozostawianą pustą.

Są sale terapii grupowej, gdzie pięciu byłych menedżerów z namaszczeniem prowadzi zebranie w sprawie organizacji zebrania. Są programy resocjalizacji, w których dawni trenerzy motywacyjni motywują siebie nawzajem do wyjścia na obiad. A dla bardziej kreatywnych – kółka hobbystów: „kolekcjonerzy dźwięków suszarki", „zbieracze zapachów starych książek" albo elitarna grupa „fotografów gołębich kup".

Sądząc z lektury Facebooka, takie zainteresowania są już od dawna w powszechnym obiegu nowoczesnej inteligencji pracującej. Gdyby jeszcze ktoś za to płacił, mielibyśmy ekstraklasę światowej kultury absurdu.

Humanizm 2.0

Sztuczna inteligencja to przełom tak wielki, że w zasadzie powinniśmy przestać mówić o technologii, a zacząć mówić o nowym rozdziale w historii ludzkości. Dokonaliśmy rzeczy, która jeszcze niedawno mieściła się wyłącznie w bajkach. Sprawiliśmy, że kamień w metalu zaczął myśleć. Kawałek krzemu, który przez miliony lat był tylko niemym minerałem w piachu, nagle przemawia, liczy, komponuje i rozmawia z nami.

Ale każdy cud ma swój cień. My, ludzie, musimy zadać sobie pytanie, czym różni się nasza myśl od jego. Musimy na nowo udowodnić sens swojego człowieczeństwa. Zastanowić się, czy nasze „pewniki" – rozum, świadomość, kreatywność – naprawdę należą do nas, czy może właśnie straciliśmy do nich wyłączność.

To wymaga fundamentalnego przedefiniowania. Jeśli dotychczas wierzyliśmy, że to właśnie my jesteśmy jedynymi narratorami świata, to teraz pojawił się narrator alternatywny – chłodny, logiczny, zawsze wyspany, niewzruszony, nieśmiertelny. Bóg albo antybóg.

Może się zatem okazać, że największym zadaniem XXI w. nie będzie ujarzmienie sztucznej inteligencji, ale ponowne odkrycie humanizmu.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 96305d9817

Polska i USA – znajdź różnicę

Dzięki USAID, amerykańskiemu programowi pomocy krajom biednym, w latach 2001–2021 udało się uniknąć 91 mln zgonów. Chodzi głównie o leczenie chorób uleczalnych. Obcięcie decyzją Donalda Trumpa o 83 proc. funduszy na ten cel może spowodować, że umrą dziesiątki milionów ludzi. Program kosztował przeciętnego Amerykanina 13 centów dziennie. To przykład, jak wiele dobrego można zdziałać tak tanim kosztem.

Decyzja Trumpa to wyrok śmierci dla milionów. Ameryka, która dzięki swej szczodrobliwości była wielka, stała się – wbrew zapewnieniom prezydenta USA – żałośnie mała. A wszystko w ramach hasła „Ameryka najpierw". Podobnie zresztą, odejmując od ust dzieciom uchodźców z Ukrainy, prezydent Nawrocki usprawiedliwiał to podłe posunięcie hasłem „Najpierw Polska, najpierw Polacy".

Nacjonalizm czyni nas nieczułymi na cierpienia innych. Te nacjonalistyczne oszczędności zadają cierpienia, nie przynosząc odczuwalnych oszczędności. Polska i USA to kraje wielkich kontrastów społecznych i trudnego dostępu do leczenia dla ludzi, którzy nie mogą za ten dostęp zapłacić.

Ale obcięcie pomocy dla obcych ani w USA, ani w Polsce nie spowodowało, że dostęp do leczenia się nie zwiększył. Oszczędzonych funduszy nie skierowano na poprawę losu uboższych warstw społecznych.

Stworzono jednak wrażenie, że przez samo odebranie pomocy potrzebującym nie-Polakom i nie-Amerykanom zrobiono coś dobrego dla „naszych". To wierutne kłamstwo.

Nie tylko odcinanie od pomocy potrzebujących nie poprawia sytuacji rodzimej biedoty, ale jeszcze odwołuje się do najniższych instynktów, pozwalając cieszyć się z cudzego nieszczęścia. Jakbyśmy, mogąc obcym coś odebrać, czuli się ważni, a nawet bogaci.

Egoizm wyniesiony na sztandary powoduje spustoszenie moralne. Nic więc dziwnego, że siostra Małgorzata Chmielewska, znana z niesienia pomocy bliźniemu, była jedną z pierwszych, które skrytykowały ograniczenie do zasiłków dla dzieci ukraińskich. Amerykanie, naród bardzo religijny, nieśli tę pomoc, bo jako najbogatszy kraj świata mieli się czym dzielić.

Wiele się mówi, że sposobem dzielenia się z krajami, z których pochodzą imigranci zarobkowi, jest pomaganie na miejscu. Ale USA zamiast jakkolwiek pomagać, deportują ludzi, którzy ciężko zarobione w Stanach dolary wysyłają rodzinom w kraju pochodzenia. A dzięki tym dolarom mniej braci, sióstr, synów i córek decyduje się na niebezpieczną drogę przez pustynię. Szacuje się, że od 1994 r. zginęło około 10 tys. osób, próbując przekroczyć granicę amerykańsko-meksykańską. Ta liczba obejmuje osoby, które zostały zastrzelone przez pograniczników, oraz te, które zginęły w innych tragicznych okolicznościach związanych z próbą przekroczenia granicy.



Rys. MARCIN CHUDZIK

Podłość święci tryumfy

Polska próbuje iść śladem USA i też zaczynamy deportować. Tyle że u nas zdecydowana większość imigrantów ma ważne prawo pobytu i pracuje. Deportujemy więc ludzi podejrzanych o udział w grupach przestępczych, co nie znaczy, że większości z nich cokolwiek udowodniono. Często wystarczy być Gruzinem i wpaść w ręce służb.

Polska klasa polityczna jest zapatrzona w Amerykę. I to nie tylko jako gwaranta naszego bezpieczeństwa, ale w styl sprawowania władzy przez amerykańskiego prezydenta. Podobnie jak USA zrezygnowaliśmy ze stosowania prawa do azylu. W Stanach polega to między innymi na wyłączeniu aplikacji, przez którą można się było umówić na rozmowę o udzieleniu prawa pobytu. U nas wyłączono prawo azylowe wszędzie tam, gdzie ktoś mógłby o azyl poprosić.

Wydajemy krocie na sprzęt wojskowy z USA, a gdy wlatują do nas ruskie drony, nasz „sojusznik" Donald Trump snuje przypuszczenia, czy to aby nie była pomyłka. Krytykowanie prezydenta USA to już prawie zdrada narodowa. I tylko tego brakuje, żeby sojusz z USA był wpisany do konstytucji, jak za PRL wpisany był sojusz z ZSRR.

Kiedy Trump wygrał, przedstawiciele polskiej prawicy tryumfowali, jak gdyby jego władza sięgała do Polski. I żądali, żeby rząd podał się do dymisji, bo przecież Trump woli obóz nacjonalistyczny i antyunijny.

Kiedyś popularna była teza, że przed wojną uchroni nas handel. Ale agresja Rosji na Ukrainę wyleczyła nas z tych mrzonek. A Trump je dobił, wypowiadając wojnę celną całemu niemal światu.

Jest jeszcze jedno niepokojące podobieństwo między naszymi krajami. I Trump, i Nawrocki mają nieposkromione ambicje. Chcą mieć jak największą władzę i to jak najdłużej. Prezydent USA już daje do zrozumienia, że nie zamierza rezygnować z kandydowania po raz kolejny na urząd prezydenta, co jest sprzeczne z amerykańską konstytucją. Jednak jak wynika z badań opinii publicznej, jego poparcie spada. Nowy sondaż „Washington Post" i Ipsos przedstawia nienajlepszy obraz prezydentury Donalda Trumpa po ośmiu miesiącach jego drugiej kadencji. Większość Amerykanów nie pochwala jego działań w polityce zagranicznej, imigracji, handlu, zwalczaniu przestępczości ani ogólnego sposobu sprawowania urzędu.

Inaczej rzecz ma się z Karolem Nawrockim, który rwie się do władzy i to władzy absolutnej. Nasz prezydent cieszy się dużym poparciem. Pozytywnie w roli prezydenta ocenia Nawrockiego 57,5 proc. ankietowanych. U nas jednak prezydent mimo starań nie sprawuje realnej władzy. Więc łatwiej punktować władzę realną, rząd, samemu nie mając wpływu na rzeczywistość. Wszystko jednak wskazuje, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że idąca jak burza po władzę prawica może zmienić nasz ustrój na prezydencki, rozpoczynając epokę „Karola Wielkiego". Strach się bać.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Żal ściska gardło, a Marek Kondrat wylewa krokodyle łzy do pustej mydelniczki. Po ponad siedmiu dekadach Henkel spuszcza wodę w klozecie historii i żegna kultowe mydło Fa. Zostają tylko żele pod prysznic i dezodoranty, czyli namiastka luksusu, jakby ktoś zamiast kawioru podał paprykarz szczeciński. Mydło Fa było w Polsce na przełomie lat 80. i 90. prawdziwym fetyszem zachodniego blichtru. To właśnie na jego cześć Kondrat i Marlena Drozdowska tabadali, tabadali, aż mydlana pieśń przebiła popularnością niejedno pielgrzymkowe „Boże, coś Polskę". Dziś pozostaje tylko gorzka refleksja: coś, co kiedyś pachniało luksusem, teraz pachnie już tylko wspomnieniem.

▮ Jeżeli chodzi o inauguracyjny kurs Pendolino z Gdyni do Zakopanego 14 grudnia, to już po ptakach. Bilety po złotówce, tańsze niż tramwajowe, rozeszły się w sekundę. Minister infrastruktury Dariusz Klimczak ogłosił więc uruchomienie drugiego składu 18 grudnia, a sprzedaż ruszyła w środę 24 września. Jeśli dziś jest piątek – wciąż są jakieś szanse na złapanie przejazdu za zeta. Wedle stawu grobla. No bo gdy ceny wskoczą w okolice 200 zł, no to oczywiście nie warto.

▮ W Krakowie pojawił się nietypowy imigrant: kangur swobodnie skakał po ulicach. Odwiedził nawet Nową Hutę i okolice szpitala Rydygiera. Policja apelowała, by nie próbować łapać zwierzęcia na własną rękę – w końcu to nie królik na święta. Ostatecznie torbacz dał się złapać na terenie szkoły na Osiedlu Złotej Jesieni. Nieoficjalnie mówi się, że przyleciał z Australii w luku bagażowym. Czy dał łapówkę? Tego straż graniczna nie komentuje. Osobliwości fauny to w Krakowie norma. Najpierw Smok Wawelski, teraz kangur. Czekamy na dinozaura z Wieliczki.

▮ Na ekspresówce w Pietrzykowicach pod Żywcem 49-letni kierowca z powiatu pszczyńskiego postanowił sprawdzić, jak 580 koni mechanicznych dogaduje się z barierkami. Efekt? Żółte Lamborghini Murciélago za milion złotych wygląda dziś jak po spotkaniu z kowadłem. Kierowca wyszedł bez zadrapania, a policja zafundowała mu rachunek za kolizję – 100 zł. Prawdziwy król życia: kupić furę za milion, rozbić ją za stówkę i jeszcze wyjść na własnych nogach wprost do ubezpieczyciela, który rwie włosy i obgryza paznokcie.

▮ Maciek Rutkowski w osiem i pół godziny przeorał Bałtyk na desce windsurfingowej, lądując we Władysławowie. Wciął 227 km i spalił 3100 kcal. Całość transmitował na YouTubie, dzięki czemu mogliśmy oglądać nie tylko fale i wywrotki, ale też historyczny moment, w którym windsurfer zebrał ponad 70 tys. zł od kibiców. Rekord? Tak, i to podwójny: w polskim windsurfingu ekstremalnym oraz w crowdfundingowym frajerstwie.

▮ W gminie Podgórzyn (powiat karkonoski) opłata miejscowa dla turystów pozostaje na poziomie 3 zł za noc-



Rys. OBYWATEL JANEK

leg. Radni zdecydowali jedynie o zwiększeniu prowizji dla inkasentów – właściciele i najemcy obiektów noclegowych dostaną teraz 10 proc. zamiast 8 od pobranych kwot. W 2024 r. gmina uzyskała z tego tytułu około 300 tys. zł. Trzy złote dla gminy, dziesięć procent dla inkasenta, a turyści też powinni być zadowoleni, bo przecież nie zdrożało. Uchwała jak cud legislacyjny: zadowala wszystkich.

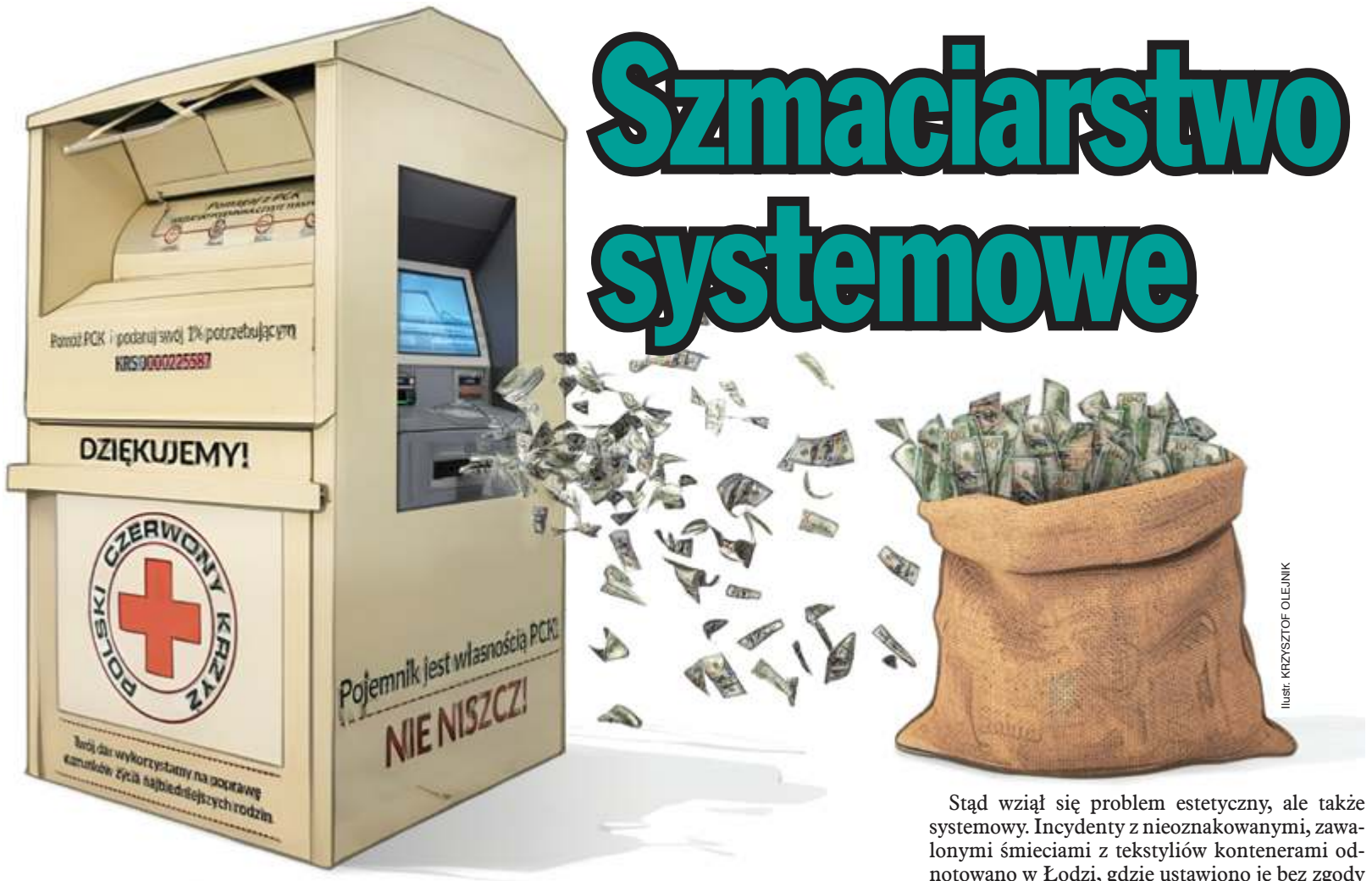
▮ Sąd we Wrocławiu właśnie przypomniał, że nawet sauna nie jest strefą wolną od prawa. Sprawa dotyczyła „saunowych wtorków dla pań", podczas których mężczyźni mieli zakaz wstępu do wrocławskiego aquaparku. Jeden z nich poczuł się dyskryminowany. Facet poskarżył się rzecznikowi praw obywatelskich, a następnie złożył pozew. Podstawą rozstrzygnięcia był art. 6 ustawy antydyskryminacyjnej, który zakazuje nierównego traktowania ze względu na płeć w dostępie do usług oferowanych publicznie. W efekcie dyskryminowany mężczyzna otrzymał 500 zł odszkodowania. Wyrok nie jest prawomocny, ale daje ciekawy precedens: sauna nie jest enklawą prawa zwyczajowego, tylko miejscem, gdzie obowiązuje konstytucja i ustawy. Powinniśmy o konstytucji zawsze pamiętać, nie tylko w saunach, ale i w publicznych szaletach. A zatem prowadzenie interesu w formule „piekarnia tylko dla brunetów" lub „apteka tylko dla wegetarian" jest konstytucyjnie niedopuszczalne.

▮ W Potulicach (woj. kujawsko-pomorskie) uruchomiono pierwsze w Polsce Centrum Liczenia Opakowań w ramach systemu kaucyjnego, który startuje 1 października 2025 r. Obiekt wart kilkanaście milionów złotych pozwoli sortować do 7,5 tys. puszek i butelek na godzinę. Do pracy w centrum zaangażowani zostali osadzeni z miejscowego zakładu karnego w ramach programu „Praca dla więźniów". PolKa – Polska Kaucja, operator systemu kaucyjnego zapowiada budowę kolejnych sześciu centrów do pierwszego kwartału 2026 r. Wygląda to na robotę głupiego. Skazańcy będą liczyć to, co wcześniej posortowały i policzyły maszyny. Jak już skończą z butelkami, można ich wysłać do banków, by ręcznie podliczali przelewy.

▮ Skarbnik Stalowej Woli w 2023 r. wydał służbową kartą 30,2 tys. zł, z czego lwia część (28 tys. zł) poszła na zestawy upominkowe z monopolowego – prezenty, wizyty zagraniczne i świąteczne paczki prezydenta miasta. Do tego prawie 2 tys. zł na akcesoria liturgiczne z okazji jubileuszu kościoła i proboszcza. Regionalna Izba Obrachunkowa w Rzeszowie uznała te wydatki za niezgodne z regulaminem i nakazała miastu porządek w finansach. W Stalowej Woli budżet najwyraźniej święcono nie tylko wodą święconą, ale i mocniejszymi trunkami.

eprasa.pl 96305d9817

Szmaciarstwo systemowe



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziś problem sznurka do snopowiązałek zastąpiła nierozwiązywalność pozbycia się starej odzieży

Na papierze rzecz wygląda wzorcowo. Około 60 tys. kontenerów na odzież rozlokowanych w całym kraju. Logo PCK lub innej charytatywnej organizacji, hasła o pomocy biednym, dzieciom, samotnym matkom, bezdomnym. Zwykły obywatel, mając do wyboru wrzucenie starego płaszcza do śmietnika albo do takiego kontenera, zwykle wybierze opcję z aurą dobra. Aż 73 proc. respondentów regularnie oddaje używaną odzież, 6 proc. wyrzuca ją do śmieci, a 5 proc. próbuje sprzedać w internecie. Zdecydowana większość z tej pierwszej grupy wybiera kontenery jako miejsce docelowe dla swoich ubrań.

Skarpetka dla potrzebującego

Problem w tym, że niemal cała ta procedura opiera się na micie. „Jedynie między 4 a 9 proc. tekstyliów nadaje się do przekazania potrzebującym" – przyznawał prezes Mazowieckiego Oddziału Okręgowego PCK. A reszta? Reszta to biznes. Ubrania sortuje się, najlepsze trafiają do lumpeksów w Polsce lub są eksportowane do Azji i Afryki. Te wykonane z wełny podróżują aż do Indii, gdzie przekształca się je w ekskluzywne dywany. Gorsze gatunkowo kończą jako czyściwo, a część – jako odpady. Z szarego kontenera do luksusowych rezydencji – taki jest los wielu polskich swetrów.

„Większość tekstyliów, które trafiają do pojemników, nie może być – ze względu na swój stan – przekazana potrzebującym" – informuje oficjalna strona PCK. Zbiórka to jedno, jakość to drugie. Wielu darczyńców wrzuca bowiem do kontenerów worki pełne śmieci, z mokrymi ubraniami, starymi ścierkami, styropianem czy nawet olejem. Taka zawartość niszczy też rzeczy, które nadawałyby się jeszcze do użytku. Na jednej ze stron lokalnych PCK można było przeczytać: „Znajdujemy w kontenerach rzeczy absolutnie nienadające się do recyklingu: tapczany, opony, chemikalia". Skutek był taki, że Wtórpol wypowiedział PCK umowę na opróżnianie kontenerów. Jako powód rozwiązania współpracy podano m.in. zmiany w przepisach dotyczących klasyfikacji i gospodarowania tekstyliami, które wpłynęły na zwiększenie kosztów i zmniejszenie jakości zbieranej odzieży. Teraz trwa usuwanie kontenerów oznaczonych logo PCK z ulic polskich miast. Innych nie. To zaś oznaczałoby, że ktoś tu nie do końca mówi prawdę. Bo przecież zniszczone szmaty i tak od zawsze stanowiły zdecydowaną większość zawartości zbiorników na tekstylia. I Wtórpolowi to nie przeszkadzało, bo o dokładnie taką zawartość kontenerów mu chodziło.

Poza tym monopol PCK na kontenery na szmaty już od jakiegoś czasu został przełamany i ostatnio tych z logiem czerwonego krzyża i tak była mniejszość.

Stąd wziął się problem estetyczny, ale także systemowy. Incydenty z nieoznakowanymi, zawalonymi śmieciami z tekstyliów kontenerami odnotowano w Łodzi, gdzie ustawiono je bez zgody miasta. Mieszkańcy skarżyli się, że ubrania zalegają na chodnikach, z których nikt ich nie odbiera. W Białymstoku straż miejska musiała interweniować kilkukrotnie przy kontenerach, które zamieniły się w nielegalne wysypiska. W Gdyni mieszkańcy zgłaszali, że pojemniki regularnie są przepełnione i wywożone z opóźnieniem, co skutkuje piętrzącymi się wokół workami. W Warszawie mieszkańcy Pragi Północ twierdzili, że nikt nie kontroluje stanu pojemników, a kontakt z właścicielem jest niemożliwy.

PCK zbierał rocznie około 60–70 tys. ton tekstyliów z około 30 tys. kontenerów i punktów w całej Polsce. Organizacja nie miała sortowni ani zaplecza logistycznego. Ubrania trafiały więc do firmy Wtórpol, która płaciła Czerwonemu Krzyżowi za każdy kilogram.

To nie znaczy, że nic nie trafiało do potrzebujących. W 2022 r. PCK rozdał ubrania 166 tys. osób we współpracy z MOPS-ami, izbami wytrzeźwień, szpitalami czy organizacjami zajmującymi się osobami bezdomnymi.

Majtki na peryferiach

Od 1 stycznia w całej Unii Europejskiej obowiązuje nowy reżim prawny: tekstylia nie mogą trafiać do odpadów zmieszanych. Każda gmina musi zapewnić mieszkańcom punkty zbiórki ubrań. Tyle że w wielu miejscach to martwe prawo. PSZOK-i są nieliczne, kampanii informacyjnych brak, a nowe kontenery – jeśli już są – bardziej przypominają prowizorki niż część zorganizowanego systemu gospodarki odpadami.

Fachowcy alarmują, że Polska kompletnie nie jest gotowa na wdrożenie zielonej dyrektywy tekstylnej. Samorządy nie mają funduszy, nie wiedzą, jak to zorganizować, a rząd nie przygotował nawet centralnych wytycznych.

Tymczasem przeciętny Polak wyrzuca rocznie 11 kg tekstyliów. Większość z nas nie wie, co z nimi zrobić. Trafiają więc do najbliższego, często przepełnionego kontenera. Brudne, przemoczone, zniszczone ubrania zalegają na chodnikach, przedzierają się przez pokrywy kontenerów, gniją, stają się ogniskiem chorób i nieporządku.

W mediach społecznościowych pojawiły się zdjęcia osób przewożących bieliznę czy dziecięce skarpety do odległych PSZOK-ów. „Mam 75 lat, nie mam samochodu. Zastanawiam się, jak zawieźć trzy pary majtek do punktu zbiórki oddalonego o 6 km" – pisała mieszkanka Radomia. Facet z Trójmiasta zauważył ironicznie: „UE każe mi recyklować skarpety, a państwo mówi: radź sobie sam". W Poznaniu studentka relacjonowała, jak wiozła worek odzieży komunikacją miejską, bo „punkt zbiórki był w dzielnicy przemysłowej, 10 km od centrum".

Według raportu Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska z lutego zaledwie 12 proc. gmin miało przygotowaną infrastrukturę do przyjmowania tekstyliów. Reszta liczyła na „przetrwanie roku przejściowego". Ministerstwo Klimatu zapowiedziało „wdrożenie systemowych rozwiązań" w połowie 2024 r. Do dziś nie zostały ogłoszone. Samorządy alarmują, że grozi im chaos porównywalny z kryzysem śmieciowym sprzed dekady.

Amnestia dla fachowców

Kraków stał się stolicą tego odzieżowego chaosu. Pojemniki stawiane są bez zgody miasta, zalegają przy nich śmiecie, ubrania walają się po ulicach. Mieszkańcy zgłaszają problem, ale urząd miasta ograniczył się do jednej kampanii informacyjnej w styczniu. A Krakowianie traktują kontenery jak śmietniki. Wrzucają do nich resztki jedzenia, pampersy czy martwe zwierzęta.

Do rady miasta trafił projekt uchwały regulującej sytuację. Zakładał weryfikację lokalizacji, usuwanie pojemników postawionych bez zgody oraz stworzenie jasnego rejestru legalnych zbiórek. Nielegalnych pojemników pod Wawelem może być kilkaset, a miasto nie ma narzędzi prawnych, by ścigać właścicieli tych kontenerów, bo urzędnicy nie wiedzą, do kogo one należą.

Jednak największy grzech odzieżowej hipokryzji wydarzył się na Dolnym Śląsku.

W latach 2013–2017 kierownictwo lokalnego oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża – zdominowanego przez działaczy PiS – uczyniło z kontenerów źródło nielegalnych dochodów. Ubrania nie trafiały do potrzebujących, ale teleportowały się do zaprzyjaźnionych second handów i firm.

Proceder był kryminalny po trzykroć. Po pierwsze, kradzież odzieży z kontenerów i jej sprzedaż. Po drugie fundacja Supra (później „Zdrowi i Bezpieczni") założona przez prezesa dolnośląskiego PCK, która wyciągnęła z tego interesu 1,4 mln zł. A po trzecie, sieć spółek zakładanych na pracowników PCK, która dała kolejny milion z hakiem. „To jedna z najbardziej kompromitujących afer PiS" – pisał „New York Times". Sprawą zajmowały się także AP, „Washington Post" i Fox News.

Po pięciu latach zapadł wyrok. Piotrowi B., byłemu posłowi PiS i wiceprezesowi PCK, udowodniono, że „dorobił się" na tym tylko 126 tys. zł. Jerzy G., dyrektor biura PCK i radny wojewódzki, usłyszał prawomocny wyrok: trzy lata więzienia i 1,5 mln zł do zwrotu. W sumie straty organizacji oszacowano na ponad 3 mln zł. W maju 2023 r. zapadły wyroki dla ośmiu osób. Trzy z nich usłyszały o odsiadce bez zawiasów.

Może więc przyszłością selektywnej zbiórki ubrań powinna być nie technologia, nie logistyka, ale jedyne towarzystwo, które wiedziało, jak na szmatach zarabiać. Wzorce historyczne są. Do takiego samego wniosku doszli ponad 200 lat temu we Francji i na czele policji kryminalnej postawili prawdziwego fachowca, byłego przestępcę i galernika Vidocqa. Może więc problemem szmat powinniśmy obarczyć fachowców z dolnośląskiego PiS?

TADEUSZ JASIŃSKI

▮ Francuska grupa kapitałowa Carrefour po 27 latach obecności w Polsce planuje sprzedać biznes: ok. 800 sklepów i 40 centrów handlowych. W grze o przejęcie jest właściciel Biedronki – Grupa Jeronimo Martins. Sieć Carrefour w Polsce traci oddech: z ok. 950 placówek kilka lat temu zostało 768, do tego w 2025 r. ogłoszono zwolnienia grupowe (ok. 340 osób). W 2024 r. Carrefour Polska zanotował spadek sprzedaży o 3,3 proc. rok do roku, a PiS dowalił jeszcze haracz od sprzedaży detalicznej. Przy obrotach rzędu 2,3 mld zł rocznie to już nie jest w kij dmuchał (jakieś 18,3 mln zł). Efekt? To druga po brytyjskim Tesco wielka zagraniczna sieć, która opuszcza nasz rynek na zawsze. Całe szczęście, że zostają jeszcze Portugalczycy z Biedronki i Niemcy z Lidla oraz Aldiego. Bo gdyby przyszło nam zdawać się wyłącznie na rodzimych czempionów handlu, moglibyśmy skończyć jak Wenezuela. Z kartkami na ryż i półką pełną tylko octu.

▮ Zaufanie do Kościoła katolickiego w Polsce leci na łeb. W 2016 r. ufało mu 58 proc. Polaków, dziś – zaledwie 35,1 proc., a nieufność podskoczyła do 47,1 proc. W ostatnim roku nastąpił kolejny spadek – o 4,3 punktu. „Zdecydowane zaufanie" deklaruje już tylko 7,2 proc., za to „zdecydowaną nieufność" – 26,1 proc. Eksperci grzmią o kryzysie o niespotykanej dynamice. Ale tu zaczyna się fenomen socjologiczno-polityczny: skoro Kościół traci, to czemu jego polityczny pupilek – PiS – ma ciągle pełne 51 proc. w wyborach prezydenckich? Wygląda na to, że Jarosław Kaczyński powinien się wizerunkowo odciąć od purpuratów i proboszczów, bo w tym tandemie to on wychodzi na stratnego. Innymi słowy: kościelny balast do odpięcia, zanim PiS też pójdzie na dno.

▮ Najsprawiedliwszy minister sprawiedliwości na świecie (zaraz po Andrieju Wyszynskim, który twierdził, że „przyznanie się do winy jest królową dowodów"), czyli Waldemar Żurek, zajął się sprawą rekordzisty z powiatu bolesławieckiego. Ten 40-latek zgromadził już 23 sądowe zakazy prowadzenia pojazdów. Żurek obiecał, że przyjrzy się przepisom i być może wyda prokuratorom wytyczne. A jest się czemu przyglądać: w Polsce aktywny zakaz prowadzenia ma 210 tys. osób, z czego ponad 75 tys. – dożywotnio. A jednak drogi wciąż pełne są kierowców bez prawa jazdy, którzy zakazy traktują jak naklejki kolekcjonerskie. Na miejscu ministra Żurka zadalibyśmy sobie pytanie: czy dożywotni zakaz to nie jest przypadkiem zwykła fikcja i prawdziwa głupota? Bo skoro zakaz nie działa, to może równie dobrze można by wpisywać go kredą na tablicy, a potem zmywać gąbką?

▮ Na drodze S61 pod Kolnem rozegrał się potrójny dramat. Dwa dostawcze Iveco zaliczyły spektakularny rozpad, a z jednego wyrzuciło na asfalt i w błoto ładunek – ponad milion papierosów bez akcyzy. Kierowca, 36-letni Litwin, został aresztowany na dwa miesiące (tragedia numer cztery). Policja szacuje, że skarb państwa mógł stracić 1,5 mln zł (ale nie stracił, więc sukces!). Śledczy badają trasę przemytu. Strzelamy: Białoruś–Sejny.

RJ

PS Pamiętajcie Państwo, że informacje powyżej przedstawione pochodzą z lokalnej prasy, a ta bywa, delikatnie mówiąc, niedokładna. Możliwe są drobne nieścisłości, uproszczenia, błędy, a nawet całkowite bzdury. Nie bierzemy odpowiedzialności za ewentualne konsekwencje korzystania z tych rewelacji. Zachowajcie zdrowy sceptycyzm i pamiętajcie Państwo, że nawet niewielkie przeinaczenie może całkowicie zmienić sens przekazu.

REKLAMA

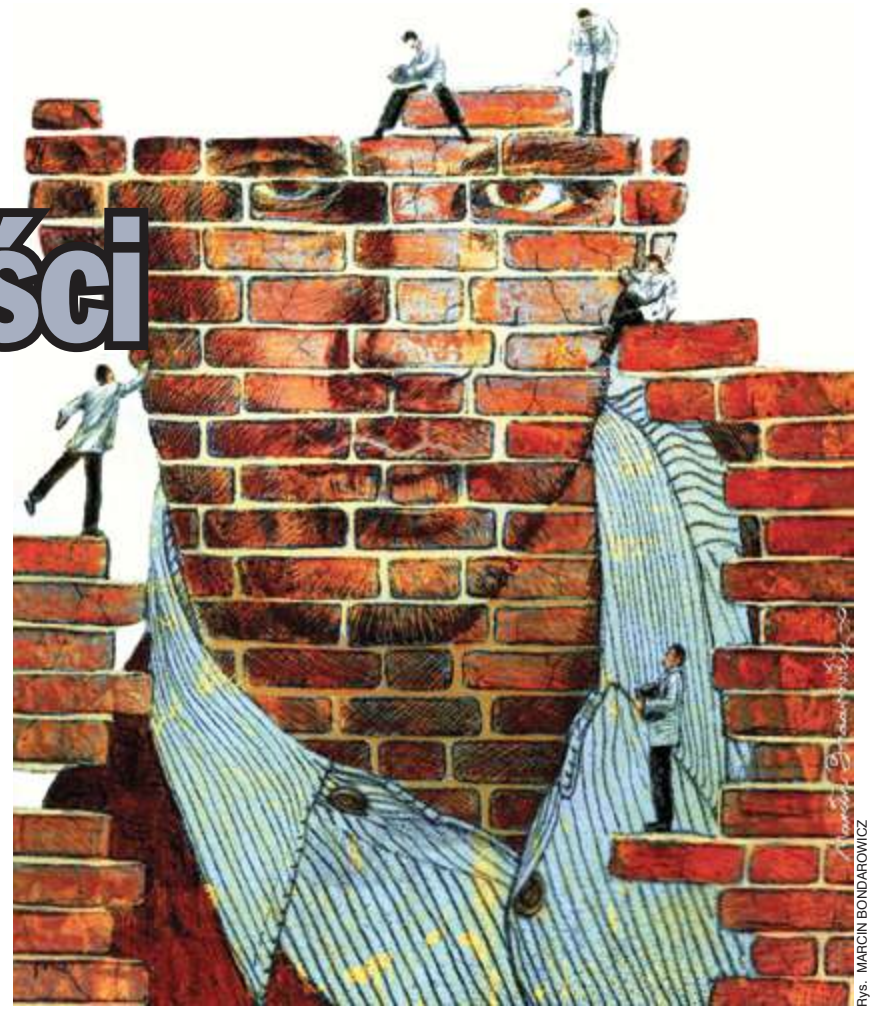


eprasa.pl 96305d9817

Nieświęte prawo własności

Człowiek jako środek produkcji

Bajki dla myślących


Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Przeczytałam dziś na Facebooku, jak jakiś palant pieprzył o „świętym prawie własności", które jego zdaniem jest warunkiem wolności. To taka konfederacka szajba – niestety panoszy się jak zaraza. Wkurzyłam się do tego stopnia, że odleciałam i zaczęłam filozofować. Czym jest własność? – pomyślałam. Na pozór pytanie banalne. To coś, na co mamy dowód – paragon, umowę, akt notarialny. Prawo chroni moje władanie nad tym przedmiotem. Mogę go używać, mogę go sprzedać, mogę nawet go zniszczyć. To właśnie jest istota własności w ujęciu prawnym: pełnia władzy nad rzeczą. A jednak to tylko jedna warstwa, ta najbardziej powierzchowna. Głębsza prawda gówniarzom i niektórym konfederatom chyba nie jest dostępna.

A głębiej kryje się odmienne od własności zjawisko – posiadanie. Nie wymaga ono tytułu prawnego. Posiadaczem jest ten, kto faktycznie włada rzeczą, „trzyma ją w swoim ręku". To podobnie jak w bibliotece. Książki na półce są własnością instytucji, ale kiedy jedną z nich wypożyczamy, to my ją „posiadamy". Przez określony czas decydujemy o jej losie, choć prawnie nadal do nas nie należy. To rozróżnienie było kluczowe dla rozwoju prawa rzymskiego i do dziś stanowi podstawę wielu transakcji, jak najem czy leasing. Posiadanie jest więc faktycznym stanem, podczas gdy własność – abstrakcyjnym, wymyślonym przez człowieka prawem. W pewnym zakresie i kontekście jest narzędziem tworzącym ludzką wolność, a w innym niewolę. Czy chcemy uświęcać niewolę, mówiąc o „świętym prawie własności"?

Gdzie w „posiadaniu" kryje się niewola? Prawdziwie społeczny wymiar tej dychotomii ujawnia się, gdy przedmiotem władania nie jest zwykła rzecz, ale „środek produkcji". To kluczowe pojęcie. Środkiem produkcji jest jak wiadomo wszystko, co pozwala wytwarzać dobra i usługi. Co jednak, gdy środkiem produkcji staje się człowiek? Nie myślę teraz o niewolnictwie jako o „prawie własności" do ludzi, ale o faktycznym „władaniu" nimi. Bo czyż nie jest tak, że

gdy ktoś kupuje naszą pracę, a sprzedaje z zyskiem wytworzone przez nas produkty i usługi – stajemy się wtedy „środkiem produkcji"? To, kto włada tymi środkami (de facto ludźmi), decyduje o strukturze całego społeczeństwa – tworzy system społeczno-gospodarczy.

Jeżeli środki produkcji są skoncentrowane w rękach wąskiej grupy – tak jak było w systemie feudalnym, a nadal dzieje się w systemie kapitalistycznym – to rodzi to określone skutki. Ci, którzy ich nie posiadają, są zmuszeni do sprzedaży jedynej „własności", jaką dysponują – swojej pracy i czasu – tym, którzy owymi środkami władają. Powstaje relacja zależności. Jakże często nie zdajemy sobie sprawy z tej prostej i oczywistej prawdy. Spostrzegamy nierówność majątkową, ale nie dostrzegamy, że mamy do czynienia z nierównością władzy oraz wolności. Filozofowie, od Karola Marksa począwszy, wskazywali, że ten ekonomiczny układ przenika wszystkie sfery życia, kształtując politykę, kulturę i ludzkie aspiracje. Posiadanie środków produkcji daje bowiem nie tylko bogactwo, ale i realny wpływ na rzeczywistość, na kierunki rozwoju, na warunki, w jakich pracują inni. To właśnie jest społeczny skutek władania – tworzy się system, w którym jedni decydują o losach wielu. I owszem: własność jest źródłem wolności, ale przede wszystkim dla tych, którzy niewolą innych. Co „świętego" widzi w tym facebookowy konfederata?

Jak zwykle dla rozwikłania takich dylematów niezastąpiona jest bajka. Tym razem niech będzie to bajka, w której własność nie jest święta. Bajka o fajnym społeczeństwie. Nie utopia, w której wszyscy mają wszystko, bo nawet w bajkach nie dzieją się rzeczy niemożliwe, ale bajka o wspólnocie, która uczciwie rozpoznaje opisane wyżej mechanizmy i stara się tak je ułożyć, by służyły wolności każdego jej członka, a nie tylko wąskiej grupy. W tym świecie fundamentalną zasadą jest to, że „wolność jednostki kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność i dobro drugiego człowieka oraz wspólnoty jako całości". To stara znana zasada, ale w tej bajce stosowana bezwzględnie także w sferze ekonomii. W tym systemie prawo do własności, także środków produkcji, nie jest prawem absolutnym, nieograniczonym. Praca na rzecz wspólnoty, zgodna z jej sprawiedliwymi normami, daje każdemu prawo do godziwego udziału w wytworzonych dobrach. Nie chodzi o równy podział, który byłby niesprawiedliwy, ale o podział „sprawiedliwy" – uwzględniający wkład, talent, ale i potrzeby. W tej bajce nie neguje się własności, ale nadaje jej ludzki wymiar. Promuje różne formy współwłasności – spółdzielnie pracownicze – gdzie środek produkcji (np. warsztat, firma) należy do tych, którzy w nim pracują. Łączy to indywidualną inicjatywę z poczuciem wspólnoty celu. Jak pisał Jean-Jacques Rousseau (pewnie także filozofując): „Żadnemu obywatelowi nie wolno być tak bogatym, by mógł kupić drugiego, ani tak biednym, by musiał siebie samego sprzedać".

Tylko co o bajkach wie konfederata?!

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

● Eurostat podał, że ceny w Polsce w sierpniu wzrosły o 2,7 proc. rok do roku. GUS ogłosił inflację na poziomie 2,9 proc. Niewiele, zwłaszcza jeśli porównać z czasami, gdy inflacja dwucyfrowa była codziennością. Ale wystarczy pójść do sklepu, by przekonać się, że coś tu się nie zgadza. Weźmy owoce. GUS mówi o wzroście cen o 11 proc. w ujęciu rocznym. Tymczasem na bazarach kilogram jabłek kosztuje dziś nawet 8 zł. Rok temu te same odmiany – lobo, jonagoldy czy antonówki – można było dostać za połowę tej ceny. Statystyka swoje, a klient na straganie swoje. Podobnie z warzywami. Portale śledzące ceny raportują, że pomidory malinowe w ciągu tygodnia podrożały o 8,7 proc., mąka pszenna o 4,8 proc., a papryka czerwona o 3,9 proc. Tymczasem w koszyku GUS warzywa ujęte są szeroko, więc średnia pokazuje raptem półtora procent rocznego wzrostu. W praktyce za kilogram pomidorów w dużym mieście trzeba wyłożyć ponad 10 zł. Różnica widoczna jest też w usługach. Oficjalnie drożeją o 6 proc. rocznie, ale każdy, kto płaci czynsz, rachunki czy korzysta z transportu miejskiego, wie, że podwyżki sięgają kilkunastu procent. Fryzjer, hydraulik czy mechanik samochodowy podnoszą ceny szybciej, niż wskazują to jakiekolwiek statystyki. GUS w tym roku obniżył udział żywności i alkoholu w koszyku inflacyjnym, dodając za to więcej usług i produktów, z których wielu Polaków na co dzień nie bardzo korzysta. Efekt? Inflacja wygląda na niższą, niż jest w portfelach. Starsi pamiętają podobne triki z PRL, kiedy wzrost cen mięsa i masła równoważono spadkiem cen lokomotyw. Statystyka podpowiada, że jest dobrze. Paragon z osiedlowego sklepu udowadnia, że wcale nie.

● Ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z radością obwieściła, że 1994 firmy zgłosiły się do pilotażu skrócenia tygodnia pracy. „To jasny sygnał troski o pracownika i przyszłość gospodarki" – powiedziała ministra, dodając, że w 2026 r. testowane będą różne warianty: czterodniowy tydzień, krótsze dniówki, dodatkowe dni wolne. A wszystko to przy zachowaniu pełnego wynagrodzenia i warunków zatrudnienia. Pięknie! Tymczasem ledwie kilkadziesiąt kilometrów od gabinetu ministry, w Łodzi, pracownicy Aquinos Bedding Poland walczą nie o skrócenie dnia pracy, ale o rzecz nader przyziemną – wypłatę zaległych pensji. Ponad 300 osób zatrudnionych w fabryce materacy od stycznia pracuje w trybie postojowym. Dostawali 80 proc. wynagrodzenia – do maja. Potem już nic. Ani w czerwcu, ani w lipcu, ani w kolejnych miesiącach. Pracownicy poszli więc po pomoc, dokąd się dało. Solidarność złożyła zawiadomienie do PIP. Okręgowy inspektorat pracy stwierdził „ciężkie naruszenie obowiązków pracowniczych" i skierował sprawę do prokuratury. Do gry włączył się też senator Krzysztof Kwiatkowski, który załatwił wsparcie z ZUS. Dzięki temu ludzie dostają przynajmniej zasiłki – chorobowe i macierzyńskie. Ale wypłat wciąż brak. Związkowcy liczą teraz na Fundusz Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Równolegle ruszyły pozwy zbiorowe – jeden o pensje, drugi o odprawy. Można więc powiedzieć, że skrócenie tygodnia pracy już działa. W Łodzi niektórzy pracownicy mają go skrócony do zera godzin. Bo są w ojczyźnie rachunki krzywd i krótszy tydzień pracy ich nie przekreśli.



Rys. MARCIN CHUDZIK

● Tusk od miesięcy powtarza jak mantrę, że „kończy się era naiwnej globalizacji, czas na repolonizację gospodarki". I pewnie dlatego 18 września na trasę Warszawa–Kraków wjechał czeski RegioJet. Na razie kursuje tylko jeden pociąg dziennie, ale to wystarczyło, żeby w PKP zrobiło się nerwowo. Najtańszy bilet na Intercity, który jeszcze niedawno kosztował 70 zł, nagle staniał do 45 zł, a Pendolino zszedł z ceną ze 169 do 101 zł. Przypadek? Nie. Bo Czesi oferują przejazd w 3 godziny i 20 minut, z biletami zaczynającymi się od 49 zł. W standardzie jest woda, wi-fi i kawa, czyli coś, co u narodowego przewoźnika często uchodzi za luksus. A od grudnia RegioJet chce uruchomić kolejne trasy: do Poznania i Gdańska, a także gęstszy ruch do Krakowa. Co ciekawe, nie jest to pierwsze takie zderzenie państwowego molocha z czeskim pragmatyzmem. Podróż do Pragi z PKP kosztuje dwa razy więcej, niż gdy na ten sam pociąg kupiło się bilet u czeskiego przewoźnika. Polak jadący do stolicy Czech płacił więc jak za zboże, a na ten sam wagon – tylko z innym logo – sprzedawał Czech bilety za połowę tej kwoty. Na tym tle hasła o repolonizacji brzmią jak kiepski żart. Bo jeśli polskość na kolei ma polegać na tym, że płacimy więcej, a dostajemy mniej, to coś jest nie halo. A jeszcze weselej będzie w przyszłym roku, kiedy na polskie tory wejdzie kolejny czeski gracz – Leo Express. Już dziś oferuje połączenia z Pragi do Krakowa, a od 2026 r. chce wydłużyć je aż do Warszawy. I to z biletami od 9 zł. Co prawda w tej cenie dostępne będą tylko cztery miejsca na kurs, ale reszta i tak ma kosztować mniej niż w PKP.

● „Na zdrowie wydajemy więcej niż na armię" – chwaliło się ostatnio Ministerstwo Zdrowia, a dane to potwierdzają. W 2024 r. wydatki na ochronę zdrowia przekroczyły 200 mld zł, czyli więcej, niż pochłonęły zakupy czołgów, haubic i rakiet. W tym roku ma być jeszcze więcej, bo państwo zapewnia, że na zdrowiu nie wolno oszczędzać. I dlatego 17 września weszła w życie „wielka reforma" dostępu do specjalistów. Dzięki niej bez skierowania można zapisywać się do psychologa, optometrysty i lekarza medycyny sportowej. Brzmi pięknie, problem w tym, że ani psycholog, ani optometrysta lekarzami nie są. Psycholog nie ma prawa przepisywać leków. Może co najwyżej wysłuchać i wypisać opinię, a w cięższych przypadkach odesłać pacjenta do psychiatry. A przecież psychiatra – w przeciwieństwie do psychologa – jest lekarzem, może leczyć i wystawiać recepty. Więc po co cały ten cyrk? Żeby człowiek w depresji najpierw opowiadał swoją historię trzy razy, zanim trafi do kogoś, kto faktycznie może mu pomóc? Jeszcze zabawniej wygląda to przy optometrystach. To zawód w Polsce młody i często mylony z okulistą. Optometrysta w sieciowych salonach optycznych zwykle bada wzrok darmo, bo koszt usługi i tak wliczony jest w cenę oprawek. Teraz Ministerstwo Zdrowia wymyśliło, że taki sam optometrysta – tyle że z kontraktem NFZ – będzie mógł wystawiać skierowania do okulisty. Czyli de facto pacjent będzie chodził od drzwi do drzwi, zamiast od razu dostać fachową pomoc od doktora, który zna się na chorobach oczu. Ministerstwo tłumaczy, że to „odciąży lekarzy rodzinnych". „To jeden z największych kroków w uproszczeniu systemu ochrony zdrowia" – chwali się rząd. Ale jakim cudem, skoro lekarz rodzinny i tak nie zajmuje się leczeniem depresji ani operacją zaćmy? W praktyce reforma wydłuży tylko drogę pacjenta: zamiast prosto do specjalisty, pójdzie najpierw do psychologa czy optometrysty, którzy i tak muszą go odesłać dalej.

● Dawniej mówiło się „kapuś" albo jeszcze dosadniej – „donosiciel". Teraz słowa te zastąpił „sygnalista". No i donosów – przepraszam, sygnałów – jest coraz więcej. W pierwszym półroczu do Krajowej Administracji Skarbowej spłynęło więc 37,2 tys. zgłoszeń sygnalnych. To o 4,2 proc. więcej niż rok wcześniej i o 6 proc. więcej niż dwa lata temu. A im więcej donosów, tym mniej z nich prawdziwych. W Szczecinie w pierwszym półroczu sprawdziło się tylko 4,5 proc. zgłoszeń. Rok wcześniej – 11 proc. Średnia z ostatnich trzech lat to 7,5 proc. Reszta? Emocje, fantazje, rodzinne niesnaski i sąsiedzkie wojenki. Jak przyznają urzędnicy, najwięcej donosów pochodzi od ludzi z najbliższego otoczenia – od byłych współpracowników, krewnych i sąsiadów. Psychologowie mówią, że coraz więcej Polaków szuka pomocy. W 2024 r. ZUS policzył, że Polacy spędzili na zwolnieniach lekarskich 240 mln dni, z czego ponad 30 mln przypadło na zaburzenia psychiczne. Wystawiono 1,6 mln zwolnień psychiatrycznych – o prawie 14 proc. więcej niż rok wcześniej. I to mimo, że psychiatrów u nas niedostatek, a psychologowie winszują sobie krocie. Frustracja rodzi sygnalistów, bo naród, zamiast na kozetce, rozładowuje emocje donosami.

TTJ

eprasa.pl 96305d9817

Kościoły zostały rzucone

Społeczeństwo doceniło wieloletnią ciężką pracę kleru.

Antysemityzm w Polsce nabrał takiego tempa, że ludzie przestali ufać nawet przedstawicielom Żyda z Nazaretu, mgliście tylko kojarzącego się z judaizmem. Według sondażu IBRIS dla PAP Kościołowi kat. ufa zaledwie 35,1 proc. Polaków – najmniej w historii takich badań. Na początku III RP watykańskiej instytucji ufało ok. 90 proc. obywateli, w 2016 r. ufnych było 59 proc. badanych. A obecnie 47 proc. przepytanych stwierdziło, że zupełnie nie ufa akwizytorom Pana Boga. Księżom coraz trudniej udawać, że jest dobrze, skoro pół Polski ich nie lubi.

Chociaż starają się jak mogą, to nie da się dłużej ukrywać bolesnej prawdy. Nawet środowiska kościelne zaczęły organizować debaty, żeby uradzić, jak pokonać kryzys. Na szczęście jest już za późno i możemy obserwować rozpaczliwe próby odzyskania zaufania, którymi kler się tylko jeszcze bardziej pogrąża. Życzliwi Kościołowi wyliczają przyczyny, które doprowadziły do poważnego kryzysu wizerunkowego. Ameryki nie odkrywają: wreszcie doszli do wniosku, że afery pedofilskie i finansowe nie przysparzają im fanów. Ale księża jakoś nie kwapią się do ograniczenia tych aktywności, bo co chwila słychać o nowych skandalach. Ciężko porzucić wieloletnie zwyczaje.

Na sprytny pomysł wpadli biskupi: ograniczają niezależność mediów katolickich, o ile w ogóle można mówić w ich przypadku o niezależności. Rzecznik Konferencji Episkopatu Polski Leszek Gęsiak ma nadzorować reformę redakcji należących do episkopatu. On osobiście uważa, że nie ma mediów niezależnych, bo wszystkie mniej lub bardziej od kogoś lub czegoś zależą. Takież zdanie o mediach ma Jarosław Kaczyński, co nas w ogóle nie dziwi – wielkie umysły myślą podobnie. W wizji Gęsiaka Katolicka Agencja Informacyjna ma się skupić na pozytywnym przekazie, bo publicyści pozwalali sobie na zbyt wiele, tzn. zdarzały się teksty krytyczne. Teraz ma być po bożemu: KAI ma informować o zbożnych inicjatywach i skupić się na propagandzie. Nazywa się to „zintegrowana informacja pozytywna” – zawsze znajdą jakąś bełkotliwą nazwę, żeby zamazać rzeczywistość. Dzięki temu czytelnicy KAI, w tym sami biskupi, nie dowiedzą się, w jakiej dupie się znaleźli. W rozmowie z „Więzią” Gęsiak skarżył się, że z mediami niekościelnymi jest jeszcze gorzej: już nawet nie krytykują, a olewają. Rzecznik biskupów jest rozżalony tą obojętnością. Większość redakcji po prostu pomija kler i jego zabawy. W tym miejscu musimy zapewnić księdza rzecznika, że na nas może liczyć – będziemy nadal pisać o przestępcach w sutannach.



Wyłamał się z biskupiego chóru bepe Artur Ważny z Sosnowca. Przyczyn kryzysu upatruje on… w sobie i swoich kolegach. To niespotykana w episkopacie postawa, ale sam Ważny ma dość specyficzną misję. Posłany został do słynącej z księżowskich orgii diecezji sosnowieckiej, kryzys to dla niego codzienność. Ekscelencja podzielił się swoimi refleksjami na platformie X. „Szukałem dla siebie zrozumienia tych badań. Jedną z odpowiedzi znalazłem na modlitwie” – napisał, a dla wzmocnienia efektu posłużył się cytatem z Biblii, konkretnie z Księgi Ezechiela: „Tak mówi Pan Bóg: Biada pasterzom Izraela, którzy sami siebie pasą! Czyż pasterze nie powinni paść owiec? Nakarmiliście się mlekiem, odzialiście się wełną, zabiliście tłuste zwierzęta, jednakże owiec nie paśliście. Słabej nie wzmacnialiście, o zdrowie chorej nie dbaliście, skaleczonej nie opatrywaliście, zabłąkanej nie sprowadziliście z powrotem, zagubionej nie odszukiwaliście, a z przemocą i z okrucieństwem obchodziliście się z nimi. Rozproszyły się owce moje, bo nie miały pasterza, i stały się żerem wszelkiego dzikiego zwierza. Rozproszyły się, błądzą moje owce po wszystkich górach i po wszelkiej wyżynie; i po całej krainie były owce moje rozproszone, a nikt się o nie nie pytał i nikt ich nie szuka”.

Co tu dużo gadać, w zawoalowany sposób dosrał sobie i kolegom. Ale jak to u klechy, przemawia przez to wyższość: ludzie to bezwolne owce, które potrzebują silnej biskupiej ręki. Jako się rzekło, Ważny pełni w episkopacie rolę fajnego i nowoczesnego, więc może sobie pozwolić na więcej. Prawie udało mu się nas zmylić, ale nie z nami te numery.

Sondaż roztrząsał także Tomasz Terlikowski. „Gdyby polscy antyklerykałowie mieli jakąś nagrodę dla osób najbardziej zasłużonych dla laicyzacji, utraty zaufania do Kościoła, wygasania jego autorytetu – to obecny (ale i poprzednie) składy Konferencji Episkopatu Polski, o Prezydium KEP i jego obecnym rzeczniku nie wspominając, byliby na krótkiej liście najsilniejszych kandydatów do tej nagrody. Ich zasługi (a z mojej perspektywy odpowiedzialność) w tej sprawie są niewątpliwe” – napisał na Facebooku. Uważamy tę opinię za skrajnie niesprawiedliwą. Nie damy odebrać sobie zasług – nie po to latami tłukliśmy teksty o klerze, żeby teraz biskupi zbierali laury. Doceniamy oczywiście wkład episkopatu w tę wielką robotę, ale Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie.

Okołokościelni komentatorzy skupiają się na przyczynach spadku zaufania do tej instytucji. Wyliczają je trafnie, bo przecież „analiza wsteczna zawsze skuteczna”. Dużo ciężej przewidzieć skutki. A te mogą być zgoła odmienne od naszych oczekiwań.

Kolejne badania pokazują, że Kościół coraz mniej znaczy dla Polaków, a kler nie cieszy się ich zaufaniem, ale praktycznie nic z tego nie wynika. To wciąż bogata i wpływowa instytucja, a kolejne rządy niezależnie od barw spełniają zachcianki biskupów lub przynajmniej nie wchodzą im w drogę.

Wyniki sondażu IBRIS mogą więc być krzepiące, ale niewiele ponadto. Kaczyński i Tusk też przodują w rankingach nieufności do polityków, co nie przeszkadza im na zmianę rządzić Polską.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Jezus show

Nie wszyscy stracili wiarę w kościelne czary-mary

Podczas gdy połowa Polaków wyrzeka się wiary ojców, ta lepsza połowa coraz głośniej deklaruje przywiązanie do katolicyzmu i urządza stosowne happeningi. Dopiero co słyszeliśmy o uczynieniu Chrystusa królem powiatu makowskiego, a już rośnie konkurencja na niwie intronizacji i zawierzeń. Na 5 października zaplanowano Wielkie Zawierzenie Najświętszemu Sercu Pana Jezusa – kolejną dewocyjną imprezę wpisującą się w nurt coraz wymyślniejszych manifestacji pobożności.



Rys. TOMASZ WIATER

Inicjatorką jest Gabriela Rosiek, osobiście wdzięczna Jezusowi za pomoc w sprawach prywatnych. Jej mąż poważnie chorował, a cieśla z Nazaretu załatwił u ojca uzdrowienie. Ktokolwiek miał styczność z polską służbą zdrowia, wie, że łatwiej jest czasem wymodlić cud niż doczekać się fachowej pomocy. Pani Gabriela propaguje kult Serca Jezusa jako skuteczną pomoc we wszystkim. – Wielkie Zawierzenie jest momentem, w którym powierzamy całe nasze życie Sercu Jezusowemu – nasze radości, troski, rodziny i wspólnoty. To czas odnowienia wiary i osobistego spotkania z Bogiem – reklamuje swoje wydarzenie organizatorka. Na znak zawierzenia chętni otrzymają tarczę z przebitym sercem, w ulubionej przez katolików krwistej estetyce w militarnym sosie.

Niby po prostu kolejna impreza dla dewotów, ale ostatnio tego jakby więcej. Część ludzi ma Kościół głęboko w dupie, ale ci, którzy w nim zostali, radykalizują się.

Wszyscy jesteśmy przebodźcowani, także w sferze religii ludziom potrzeba coraz mocniejszych wrażeń. Zwykłe klepanie zdrowasiek nie wystarczy, potrzeba wielkich zgromadzeń na stadionach z odpowiednią oprawą świetlną i muzyczną oraz występami gwiazd sutannowych i w cywilu.

Moda na to przyszła z Ameryki (bo skąd?), gdzie różne kościoły protestanckie celują w tego typu rozrywkach. Pogrzeb Charliego Kirka był wybitnym przykładem takiego religijno-politycznego show. Gość – choć protestant – imponuje także katolickim hierarchom. Kard. Timothy Dolan z Nowego Jorku stwierdził, że Kirk przypomina mu św. Pawła. Bo nienawidził innowierców i kobiety?

Mechanizmy te opisała Katherine Stewart w książce „Wyznawcy władzy. Religijny fundamentalizm i polityka w USA”. Nie bez powodu pojawia się w niej polski wątek. W recenzji tak pisał o tym poeta Marcin Zegadło: „W tym sensie tekst Stewart jest ostrzeżeniem przed tym, co zwykliśmy postrzegać jako »konserwatywny światopogląd«, w rzeczywistości spotykając się z ruchem skrajnie radykalnym, którego celem jest wyłącznie władza oparta na głębokich przekonaniach religijnych w ujęciu niemal dosłownej interpretacji Starego i Nowego Testamentu. To się dzieje naprawdę – mówi Stewart. Innymi słowy Ameryka pod przywództwem Trumpa stała się źródłem nadziei dla członków nowego prawicowo-religijnego populistycznego ruchu o zasięgu globalnym, nie przez przypadek na stronach książki pojawia się Dominik Tarczyński oraz wątek intronizacji przez Polskę Chrystusa na swojego króla”.

Dzisiejsi dewoci to już nie babcie śpiewające litanię pod kapliczką, ale rzutcy i ambitni ludzie, którzy w tej niszy znaleźli sobie miejsce. Zapatrzeni w Ameryczkę patoprawicowcy chcą przenieść na tutejszy grunt tamtejsze patenty. Tak im dopomóż Nawrocki!

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Magazyn „Nature Communications” opublikował wyniki badań profesora Jörga Stolza z Uniwersytetu Lozańskiego, z których wynika, że Polska od 2016 r. sekularyzuje się najszybciej na świecie. Dane pokazują, że młodzi Polacy są znacznie mniej religijni niż ich rodzice i dziadkowie. Wśród młodego pokolenia zaobserwowano wyraźne różnice zarówno w deklaracjach wiary, jak i w uczestnictwie w praktykach religijnych. W spisie powszechnym odsetek osób deklarujących się jako katolicy spadł z 87 proc. w 2011 r. do 71 proc. w 2021 r. Jednocześnie coraz więcej obywateli określa siebie samych jako ateuszy. Nareszcie jakieś podium dla ojczyzny. Oby tak dalej!

✚ Sąd Apelacyjny we Wrocławiu skazał księdza Włodzimierza G., byłego proboszcza parafii w Legnickim Polu, na rok i dwa miesiące bezwzględnego pierdla za defraudację dotacji, które pozyskał na remont zabytków. Wyrok jest prawomocny. Za kadencji G. parafia otrzymała 1,2 mln zł rządowego i samorządowego wsparcia na renowację bazyliki mniejszej i remont kościoła w Gniewomierzu. Duchowny pozyskane pieniądze wydał na zakup kryptowalut i padł ofiarą oszustwa. Sprawa wyszła na jaw w 2022 r. Kuria zawiadomiła wówczas prokuraturę, a klecha stracił stołek. Ekswproboszcz zapewniał, że chciał w ten sposób zebrać pieniądze na parafię. Ostatecznie w trakcie śledztwa okazało się, że remontował swój dom. Sąd pierwszej instancji skazał księdza na dwa lata więzienia. Nakazał także duchownemu zwrócić gminie 15 tys. zł. oraz milion resortowi kultury. Włodzimierz G. złożył wówczas apelację.

✚ Jak poinformował rzecznik prasowy diecezji legnickiej ks. Waldemar Wesołowski, biskup Andrzej Siemieniewski zgodził się z wyrokiem sądu w sprawie byłego proboszcza z Ruszowa, który wykorzystywał seksualnie dwie niepełnosprawne intelektualnie dziewczynki. Diecezja nie będzie składała apelacji. Tym samym zobowiązana jest do wypłacenia ofiarom po 475 tys. zł zadośćuczynienia. Proces z 2019 r. dotyczący molestowania nieletnich ujawnił, że duchowny dopuszczał się podobnych czynów również wcześniej. W trakcie rozprawy przesłuchano jego dawne wychowanki z parafii we wrocławskim Brochowie. Dorosłe kobiety zeznały, że w latach 80. padły ofiarą klechy pedofila. Oskarżony ks. Piotr M. został skazany za czyny pedofilskie na cztery lata pierdzenia w pasiak.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Prokuratura Okręgowa w Sosnowcu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko 54-letniemu księdzu Ryszardowi G., duchownemu diecezji sosnowieckiej. Kapłan usłyszał zarzuty trzech czynów molestowania seksualnego oraz usiłowania zmuszenia do zachowań o charakterze seksualnym, do których miało dojść w czerwcu ubiegłego roku. Ryszard G. został zatrzymany w kwietniu 2025 r. i przebywa w areszcie. Najcięższy z zarzutów zagrożony jest karą pięciu lat więzienia. Prokuratura na poczet grożących klesze kar i zadośćuczynienia dla pokrzywdzonych zabezpieczyła majątek klechy o wartości 75 tys. zł. Sprawa wpisuje się w szersze śledztwo w diecezji sosnowieckiej dotyczące przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 96305d9817

Od lat misją polskiego duchowieństwa w kraju i za granicą jest odstręczanie od religii.

Księża eksportowi



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Jak wiadomo, polski katolicyzm od dekad eksportuje w świat naszą nadwiślańską duchowość. Ją zaś niosą po wszystkich kontynentach polscy duchowni. Niosą tak donośnie, że co chwila media mają o czym pisać i mówić.

Duchowni z Karaibów

I tak już od kilkunastu lat. Pierwszym ich bohaterem był ks. Wojciech Gil znany wśród lokalnej społeczności jako „Padre Alberto". Przyjechał na Dominikanę z Polski jako misjonarz. W parafii Juncalito, małym miasteczku położonym w górach, zdobył serca mieszkańców. Pomagał w szkole, organizował zajęcia dla dzieci, wprowadzał elementy kultury polskiej do karaibskiej rzeczywistości. Dla wielu był uśmiechniętym księdzem, który potrafił przyciągnąć najmłodszych.

W 2013 r. dominikańskie media podały informację o tym, że prokuratorzy oskarżyli Gila o korzystanie seksualne z małych chłopców. W 2015 r. polski sąd w Nowym Sączu skazał Gila na siedem lat.

Gil to jednak był mały Pikuś, bo w samym centrum Santo Domingo, w stolicy Dominikany, urzędował nuncjusz apostolski – czyli ambasador Watykanu – Józef Wesołowski, arcybiskup, były biskup pomocniczy w Krakowie, wcześniej dyplomata w Azji i Europie. Wesołowski reprezentował papieża, miał dostęp do elit politycznych, bywał w pałacu prezydenckim, zasiadał w lożach honorowych na uroczystościach państwowych. Dla miejscowych katolików był znakiem, że Kościół stoi blisko władzy.

No i okazało się, że nocami nuncjusz przechadzał się po nadmorskiej promenadzie Santo Domingo, gdzie spotykał się z chłopcami. Płacił im za seks – czasem drobnymi pieniędzmi, czasem sprzętem elektronicznym. W 2013 r. dominikańska prokuratura zebrała materiał dowodowy, w tym nagrania, świadectwa ofiar i świadków.

Stolica Apostolska odwołała Wesołowskiego do Rzymu i wszczęła własne dochodzenie. Rok później Kongregacja Nauki Wiary uznała go winnym i wydaliła ze stanu duchownego. Planowano też proces o pedofilię. Ale w 2015 r., tuż przed rozpoczęciem rozprawy, Wesołowski wziął i umarł. Oficjalnie – na zawał serca. Miał 67 lat.

Obaj ci duchowni stali się dla świata symbolem tego, co wnosi w ewangelizację polska katolicka duchowość. I przez kilka lat pamięć o obu panach powodowała, że z polski kler za granicą się zreflektował. Ale ileż można...

Make America Great Again

Sierpień 2024 r. przyniósł wiadomość, która obiegła amerykańskie i polskie media. W Nowym Jorku zatrzymano polskiego zakonnika, kapucyna, który przez lata prowadził zbiórki pieniędzy na pomoc ofiarom kryzysu humanitarnego na Bliskim Wschodzie. Opowieści, jakie wciskał darczyńcom, poruszały serca. Wszak pieniądze miały trafiać do szpitali w Libanie, do dzieci rannych w wybuchach, do organizacji medycznych kupujących karetki i sprzęt. By uwiarygodnić swoje historie, przekonywał, że sam został ranny w eksplozji w bejruckim porcie w 2020 r. W rzeczywistości w tym czasie siedział wygodnie w Stanach między kolejnymi wizytami w nowojorskich restauracjach.

Ojciec Paweł urodził się w Polsce. W 1994 r. wstąpił do zakonu kapucynów w Krakowie, składając śluby ubóstwa. W 2001 r. został wyświęcony na księdza, a dekadę później trafił do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał w klasztorze na Manhattanie. Tam zajął się działalnością charytatywną.

Skutecznie. Amerykańscy śledczy ustalili, że przez osiem lat duchowny zebrał około 650 tys. dol. Zamiast na misje, pieniądze szły na spłatę kart kredytowych, kosztowne wakacje, eleganckie garnitury i posiłki w najlepszych lokalach.

Najbardziej szokującym szczegółem ujawnionym przez prokuraturę była operacja plastyczna brzucha, którą zakonnik opłacił z datków wiernych – liposukcja kosztowała 15 tys. dol.

Ojciec Paweł nie poprzestał na aureoli kapłana. Aby poszerzyć swoje źródła dochodu, podawał się za lekarza, chirurga naczyniowego, a nawet za przedstawiciela ONZ. Zmieniał nazwiska, tworzył kolejne legendy. Wykorzystywał koloratkę, by zdobywać kolejne czeki. Był na tyle przekonujący, że jedno z małżeństw z Pensylwanii między czerwcem 2020 a październikiem 2023 r. przekazało mu 84 tys. dol. „Był spokojny, łagodny, mówił, że jego misją jest ratować dzieci. Jak mogliśmy mu nie wierzyć?" – wspominał jeden z darczyńców, cytowany przez „New York Post".

Kapucyni z Nowego Jorku i Krakowa oficjalnie odcięli się od działań zakonnika. „Bracia są urażeni i zgorszeni faktem, że ojciec Paweł zdradził nasze zaufanie oraz zaufanie osób, które oszukał" – napisano w komunikacie. Jednocześnie zakon przyznał, że Paweł B. wciąż formalnie jest jego członkiem, a w Rzymie trwa ustalanie dalszego postępowania kanonicznego. Ojciec Paweł czeka na proces.

Transcendencja wspomagana

„Polski ksiądz w austriackim areszcie za produkcję narkotyków" – taka depesza pojawiła się w serwisach informacyjnych nieco ponad rok temu.

Lipiec 2024 r. Waldviertel, sielska kraina w Dolnej Austrii, dotąd znana głównie z lasów i spokoju, staje się scenerią policyjnego nalotu. Funkcjonariusze kryminalni na polecenie prokuratury wchodzą do mieszkania polskiego księdza. Obok różańców, mszałów i figur świętych znajdują tam sprzęt laboratoryjny i chemikalia do produkcji narkotyków. Na stole probówki, w kącie butle, a w szufladach – amfetamina gotowa do sprzedaży.

Austriackie media nie miały wątpliwości: „Ksiądz z Polski produkował i dystrybuował twarde narkotyki". Śledczy wskazywali, że nie chodziło o skromny eksperyment ani rekreacyjne użycie, lecz o regularną produkcję metamfetaminy przeznaczonej na rynek. Zatrzymano także drugą osobę, obywatela Czech. Ten akurat z Kościołem nic wspólnego nie miał.

Podejrzany duchowny liczył 39 wiosen. Pochodził z archidiecezji warszawskiej, a od 2021 r. służył w diecezji St. Pölten. Trzy lata zajęło mu, by obok misji duszpasterskiej rozwinąć działalność, której finałem stała się cela aresztu.

Diecezja St. Pölten natychmiast wydała oświadczenie: „Ksiądz został zwolniony ze wszystkich obowiązków duszpasterskich, zakazano mu wszelkiej działalności w diecezji". Jednocześnie kuria poinformowała archidiecezję warszawską, która z kolei zapowiedziała „niezbędne działania prawno-kanoniczne". I tylko rzecznik warszawskiej kurii ks. Przemysław Śliwiński próbował tonować emocje, zwracając uwagę, że „nie wszystkie informacje medialne są precyzyjne".

To wszystko przez gender

„Polski ksiądz skazany w Wielkiej Brytanii za czyny lubieżne wobec dziecka" – ta informacja rozniosła się przez serwisy informacyjne na całym świecie. Nie „mieszkaniec Jersey", nie „obywatel Zjednoczonego Królestwa", lecz „ksiądz z Polski".

Ks. Piotr Antoni Glas, dziś 61-letni, od ponad dwóch dekad działał na Wyspach Brytyjskich. Najpierw w Towarzystwie Chrystusowym dla Polonii Zagranicznej, później, po odejściu ze zgromadzenia w 2002 r., jako kapłan diecezji Portsmouth. W Polsce dał się poznać jako charyzmatyczny kaznodzieja i egzorcysta. W 2016 r. prowadził modlitwę podczas Wielkiej Pokuty na błoniach jasnogórskich, wzywając do uwolnienia narodu od „działania złego ducha". Jego konferencje na YouTubie i książki w księgarniach katolickich cieszyły się dużą popularnością. W sieci mówił o masonach, gender i szatanie czającym się w codzienności. Był duchownym, którego słuchały tysiące.

Ale równocześnie – jak orzekł Królewski Sąd hrabstwa Jersey – przez lata w cieniu swojej duszpasterskiej działalności dopuszczał się czynów lubieżnych wobec dziecka. Proces trwał tydzień. Dziesięć zarzutów. Część oddalono, część odrzucono, lecz trzy najcięższe – dotyczące „rażącej nieprzyzwoitości wobec dziecka" – znalazły potwierdzenie. Jak podali prokuratorzy, jego fetyszem były stopy, a ofiara była wykorzystywana w latach 2004–2007, kiedy Glas pracował jako duszpasterz w Jersey.

Ława przysięgłych uznała go winnym. Sąd wymierzył mu pięć lat więzienia, a także dożywotni zakaz kontaktu z ofiarą. Nakazano mu również zapłacić ponad 12 tys. funtów na pokrycie kosztów terapii osoby, którą skrzywdził. Glas został wpisany do rejestru przestępców seksualnych na 10 lat.

Diecezja Portsmouth wydała oświadczenie: „Wyrażamy głębokie ubolewanie z powodu przestępstw popełnionych przez ks. Glasa. Przepraszamy osobę pokrzywdzoną za cierpienie, które stało się jej udziałem". Kiedy w 2024 r. policja z Jersey powiadomiła biskupa o oskarżeniach, Glas został zawieszony w posłudze, a kuria współpracowała z organami ścigania. A że przez poprzednie lata działał poza jakąkolwiek kontrolą...

Watykanista

Polikarp N., zakonnik franciszkanin, historyk i watykanista, przez wiele lat współpracował z Watykanem w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej jako pracownik łacińskiej sekcji – tzw. łacinnik, osoba wtajemniczona w sekretne struktury Kurii Rzymskiej, pracownik instytucji blisko papieża. Znał zwyczaje watykańskie, kursy dyplomatyczne, języki urzędowe. Jego praca dawała mu prestiż: książki, publikacje, wykłady, kontakty z hierarchią.

Tymczasem w Polsce w 2022 r. wpłynęło zawiadomienie od delegata do spraw ochrony dzieci i młodzieży w zakonie, którego jest członkiem, że mogą istnieć poważne zarzuty dotyczące Polikarpa N. Śledztwo prowadzone było i przez prokuraturę w Gdańsku. Z czasem zarzuty urosły – 14 przestępstw na szkodę czterech małoletnich osób, większość ofiar miała mniej niż 15 lat. Wykorzystywał swoje stanowisko, by realizować się seksualnie z małolatami. Okres działalności obejmuje lata 2006–2016, w Polsce i – jak niektóre doniesienia mówią – również za granicą.

Gdy Polikarp N. został aresztowany, nie przyznał się do zarzutów i odmówił składania wyjaśnień. Prowincja Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny Zakonu Braci Mniejszych poinformowała, że zawieszono jego aktywność zawodową. Ale o tym, czym i w stosunku do kogo braciszek zasłużył sobie na awans do Watykanu, nie wspomniano.

Posługa na zmywaku

Były ksiądz Sławomir A., 55-latek pochodzący z Łomaz na Podlasiu, nie trafił na wyspę Man jako eksportowy polski duchowny. Wybrał się na misję z własnej inicjatywy, a właściwie w ramach ucieczki przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Nie wyszło. W czerwcu został aresztowany przez brytyjskie służby w jednej z restauracji. W kuchni smażył ryby i frytki, w papierach figurował jako kelner, a w Interpolu – jako osoba poszukiwana czerwoną notą. Polska prokuratura zarzuca mu 25 napaści seksualnych na pięć dziewczynek poniżej 16. roku życia. Zbrodnie, których miał się dopuścić, rozciągają się na niemal dekadę – od 2006 do 2015 r.

Na Podlasiu wspominają go różnie. Jedni – jako kapłana, który umiał porwać do śpiewu. Inni – jako kogoś, kto zawsze trzymał się blisko młodzieży, może aż za blisko. Jeszcze inni – jako zwyczajnego wikariusza, który przenosił się z parafii do parafii: Adamów, Ostrów Lubelski, Ortel Królewski, Łosice, wreszcie Siedlce.

Według ustaleń śledczych, gdy był jeszcze księdzem diecezji siedleckiej, prowadził lekcje muzyki, chóry, zespoły młodzieżowe. Zyskał opinię duszpasterza charyzmatycznego, kreatywnego, potrafił porwać młodych do śpiewania religijnych pieśni. W Łosicach prowadził katolicki zespół, który występował na ogólnopolskich festiwalach. W Siedlcach tworzył chóry, katechizował, organizował czuwania. To właśnie tam, w cieniu religijnych nut i modlitw, miały dziać się rzeczy, o których dziś mówi akt oskarżenia. Prokuratura w Siedlcach zebrała relacje pięciu dziewczynek – dziś dorosłych kobiet – które twierdzą, że ksiądz wykorzystywał swoją pozycję, by molestować, grozić, zmuszać podstępem.

Diecezja siedlecka w komunikacie wyraziła „ubolewanie" i „przeprosiny dla wszystkich skrzywdzonych osób". Rzecznik diecezji przypomniał, że Sławomir A. od 2019 r. „na mocy decyzji biskupa siedleckiego Kazimierza Gurdy, zatwierdzonej przez Dykasterię Nauki Wiary, został wydalony ze stanu duchownego". Były ksiądz nie zgodził się na dobrowolne odesłanie do Polski. Stanął przed Westminster Magistrates Court, gdzie usłyszał, że zostaje tymczasowo aresztowany. Sąd przedłużył areszt do sierpnia, pełne przesłuchanie ekstradycyjne wyznaczono na grudzień 2025 r. Na razie były ksiądz siedzi w brytyjskim areszcie, a jego adwokaci grają na czas.

A jeśli komuś mało, to...

Jeszcze inny przypadek – polski ksiądz, pracujący kiedyś w internacie seminarium duchownego w Paryżu, oskarżony we Francji o nadużycia seksualne wobec nieletnich. Czternaście osób – 13 mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy byli niepełnoletni w czasie, gdy mieli kontakt z księdzem – zgłosiło się o odszkodowanie, rekompensatę cierpień. Przypadek ujrzał światło dzienne poprzez media francuskie i agencje prasowe.

Dwaj polscy księża Michał i Radosław zostali ukarani przez duński system prawny za czyny związane z nadużyciami seksualnymi. Ksiądz Radosław został skazany w Danii za posiadanie pornografii z udziałem nieletnich i przyznał się do winy. Ksiądz Michał był oskarżony o molestowanie dziewcząt. Sprawy te zakończyły się karami – grzywnami, konfiskatą sprzętu, nałożeniem sankcji prawnych w Danii.

Obaj duchowni zostali przeniesieni do kraju i kontynuowali działalność duszpasterską. Władze kościelne poinformowały jedynie, że mają ograniczenia w kontaktach z nieletnimi. Tyle że ksiądz Michał został dyrektorem dużego ośrodka rekolekcyjnego w Falenicy, który organizował wydarzenia także dla młodzieży.

Ks. Mirosław, kapłan pochodzący z Polski, został oskarżony w USA o molestowanie seksualne przez trzy osoby, w tym dwóch księży. Klecha pełnił funkcję dyrektora generalnego w kampusie Orchard Lake Schools – kompleksie, który składa się ze szkoły przygotowawczej, seminarium i ośrodka kultury polskiej. W pozwie zarzucono księdzu, że ofiary zwabił do Oakland Lake z zamiarem wykorzystania seksualnego. Ks. Mirosław zaprzecza zarzutom, a sprawa jest w toku.

W stanie New Jersey, także w USA, polski ksiądz Marcin został oskarżony o molestowanie seksualne nieletniej. Gdy doszło do incydentu, był niedługo po święceniach – zarzuca mu się, że włożył rękę pod sukienkę dziewczynki i chwalił jej urodę. Duchowny został aresztowany, a diecezja Paterson, której podlegał, zawiesiła go w pełnieniu obowiązków duszpasterskich.

Na szczęście dla reszty świata w Polsce z roku na rok spada liczba chętnych do seminariów. Polskie parafie zaczynają szukać facetów w koloratkach do pracy, a eksport polskiego kleru katolickiego został zahamowany.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 96305d9817

Chciałem pisać o lekkoatletyce, tenisie, żużlu, ale nie napiszę.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Coraz więcej osób, niekoniecznie związanych ze skrajnymi politycznymi środowiskami, domaga się wykluczenia z rozgrywek sportowych reprezentantów Izraela. Przekaz jest jasny: skoro po pełnoskalowej agresji na Ukrainę wyrzucono poza sportowy nawias Rosjan i Białorusinów, to samo powinno spotkać Izraelczyków, których kraj dopuszcza się zabójstw na Palestyńczykach, stosuje głód jako formę walki, bombarduje czynne szpitale. Konflikt był sprowokowany zbrodnią Hamasu. 7 października 2023 r. terroryści zabili ponad 1200 osób, a 248 zostało porwanych i przetrzymywanych w charakterze zakładników.

O ile odwet na organizacji Hamas, zwłaszcza jej kierownictwie, był dla światowej opinii w pewien sposób zrozumiały, o tyle dalszy rozwój sytuacji, atak na Strefę Gazy, w którym zginęło kilkadziesiąt tysięcy cywilów (nikt nie jest w stanie podać dokładnej liczby), w tym kobiety i dzieci, stopniowo wzbudzać zaczął coraz większy gniew społeczeństw żyjących w demokratycznych krajach.

Prawica i lewica razem

My mieliśmy tego przykład podczas niedawnych mistrzostw Europy w koszykówce częściowo rozgrywanych w Katowicach. Los sprawił, że nasza reprezentacja spotkała się w grupowym pojedynku z drużyną Izraela. Pod katowickim Spodkiem, w którym odbywał się mecz, manifestowały osobno dwie grupy, reprezentujące dwa skrajnie różne środowiska.

Lewicowe organizacje trzymały transparenty z hasłami: „Stop ludobójstwu w Gazie!”. „Państwo Izrael jest prawdziwym terrorystą!”, „Izrael mordercy od 1948”. Ostatnie hasło to wyraźna odpowiedź na haniebny transparent wywieszony przez izraelskich kibiców piłkarskiego klubu Maccabi Hajfa podczas eliminacyjnego meczu Konferencji Ligi Europy z Rakowem Częstochowa: „Polacy mordercy od 1939 roku”.

Zebrana w innym miejscu pod Spodkiem ultraprawicowa Młodzież Wszechpolska wygłaszała podobne opinie – rzadka zgodność zdania z lewicą – a jeden z transparentów głosił: „Kiedyś Niemcy, dzisiaj Żydzi, cały świat ich zbrodnie widzi!”. Manifestacje przebiegały bez ekscesów, policja dla formalności spisała dane osobowe organizatorów i tyle.

Wewnątrz hali przed meczem publiczność buczała podczas odgrywania izraelskiego hymnu „Hatikva”, wiele osób nie wstało w tym czasie z krzesełek, na trybunach pojawiła się palestyńska flaga, usunięta po interwencji służb porządkowych. Polska wygrała mecz 66:64. Goście zarzucali, że sędziowanie było niesprawiedliwe, może troszeczkę, ale w świat poszedł nie tylko wynik, ale przede wszystkim wspomniane wydarzenia. Atmosfera była gorąca, zwłaszcza że kibiców reprezentacji Izraela w Spodku nie brakowało, ale – powiedzmy otwarcie – do żadnych rękoczynów ani prób zakłócenia meczu nie doszło.

Wśród palestyńskich flag

Nie da się tego powiedzieć o kolarskim wyścigu Vuelta a España. Podczas każdego etapu przy szosie zbierali się kibice z palestyńskimi flagami, które zwieszano także z balkonów budynków w miastach i miasteczkach, przez które przejeżdżał peleton. Flagi Hiszpanii były z pewnością rzadsze niż palestyńskie. Manifestowanie przekonań przy pomocy flag przy wyścigach kolarskich ma w tym kraju sporą tradycję. Nierzadko swoimi barwami przy szosie wyróżniali się zwolennicy niepodległości Kraju Basków lub Katalonii. Nigdy jednak – o ile pamiętam – nie dochodziło do zatrzymania wyścigu.

Tym razem było inaczej. Kilkukrotnie manifestanci wychodzili na szosę, kolumna wyścigowa musiała stanąć, raz sędziowie pomylili się tak bardzo, że po wznowieniu rywalizacji etap wygrał zawodnik, którego w ogóle nie było w czołowej grupie.

Kolarskie wyścigi wielkiej trójki (obokVuelty, Tour de France i Giro d’Italia) kończą się tzw. etapem przyjaźni. Po trzytygodniowej rywalizacji sytuacja w klasyfikacji generalnej jest rozstrzygnięta, zawodnicy jadą powoli, żartują, robią sobie selfie, czasem popijają szampana. W tegorocznej Vuelcie etapu przyjaźni nie było. Gdy rozbawieni kolarze zbliżali się do Madrytu, propalestyńscy manifestanci zablokowali wjazd do miasta. Etap zneutralizowano, odwołano uroczystość zakończenia wyścigu i rozdania nagród. Rozumiem manifestantów, ale żal mi kolarzy.

Gwałtowne propalestyńskie demonstracje odbywają się w wielu krajach świata. Dlaczego Hiszpanie tak bardzo jako cel ataku upodobali sobie głośny na cały świat wyścig dokoła swojego kraju? Nie będę się wdawać ani w socjologiczne, ani polityczne rozważania, niech to robią ludzie lepiej wykształceni ode mnie. Zwrócę uwagę na dwa fakty. Trasa kolarskiego wyścigu jest praktycznie nie do upilnowania. Etap liczy – dajmy na to – 200 km. Nie da się co kilka metrów postawić policjanta.

Drużyna z monogramem

Po drugie – i tu zatrzymam się na dłużej – w zawodowym peletonie jeździ grupa Israel-Premier Tech. Grupa jak grupa, profesjonalne zespoły noszą na koszulkach nazwy swoich sponsorów. Israel-Premier Tech nie jest jednak zwyczajną grupą, jak każda inna, stoi za nią kanadyjski miliarder żydowskiego pochodzenia Sylvan Adams, który nie ukrywa, że kupił licencję dla drużyny (nawiasem mówiąc, kupił od pupilka Władimira Putina – rosyjskiego zespołu Katiusza) po to, aby rozsławiać w świecie państwo Izrael.

„Nie jestem religijny – powiedział w jednym z wywiadów Sylvan Adams – ale uważam się za najbardziej żydowską osobę, jaką kiedykolwiek spotkacie. Jestem głęboko dumny z naszego narodu i dobra, które uczyniliśmy światu, a jednym z najważniejszych jest fundament zachodniego, demokratycznego społeczeństwa. Podjąłem decyzję o poświęceniu życia dla promowania Izraela”. Miliarder na każdym kroku zastrzega, że przeciwny jest mieszaniu sportu z polityką, ale sam to robi na każdym kroku.

Podczas trwania Vuelta a España Sylvan Adams nakazał z koszulek oraz wozów technicznych drużyny Israel-Premier Tech usunięcie nazwy i zastąpienie jej monogramem, sądząc widocznie, że słowo „Israel” drażni antysemitów i zaprzestaną protestów. Nie chodzi jednak o antysemityzm ani o kolarstwo, bo nie przeciw niemu skierowane były demonstracje.

Israel-Premier Tech nie jest jedyną drużyną w peletonie, która ma reklamować swój kraj i której powstanie można łączyć ze zjawiskiem sportwashingu, czyli poprawiania wizerunku poprzez sponsorowanie sportowców lub organizowanie ważnych wydarzeń. Pozostając przy kolarstwie: mamy w peletonie drużynę Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Bahrajnu. Nie jest to może powód do zachwytu, ale żaden z tych krajów nie prowadzi wojny i nie morduje cywilów. Tymczasem znaczna część sportowej rodziny domaga się całkowitego wykluczenia ze swojego grona Izraela, podobnie jak Rosji i Białorusi.

Paskudna osoba

Decyzja Adamsa o wycofaniu słowa „Israel” z koszulek jego drużyny oraz wozów technicznych, ale o pozostaniu w imprezie, bardzo spodobała się premierowi Izraela Binjaminowi Netanjahu: „Brawo dla Sylvana Adamsa i jego drużyny, że nie poddała się zastraszeniu i nienawiści. Przynosicie Izraelowi dumę”.

Premier Netanjahu nigdy nie był pozytywnym bohaterem mojej powieści. Po obejrzeniu w Canal+ dokumentu „Akta Bibiego” zacząłem tak źle myśleć o tym człowieku, że aż przestraszyłem się, czy aby we mnie nie obudził się demon antysemityzmu. Nie, antysemityzmem zawsze brzydziłem się i brzydzę, ale czym innym jest polityka państwa Izrael, na którego czele stoi – odważę się napisać po obejrzeniu wspomnianego filmu dokumentalnego – paskudna osoba, a czym innym stosunek do narodu, nie tylko zresztą żydowskiego.

Binjamin Netanjahu, potocznie zwany Bibim, to jeszcze nic. Warto było posłuchać jego żony Sary. To po prostu potwór – wyszczekana i zarozumiała baba, która w wielu sprawach kieruje swoim mężem. Binjamin – powtarzali inni świadkowie – po prostu boi się żony.

Nie będę opowiadać filmu „Akta Bibiego”, zachęcam do obejrzenia, bo warto. Wracam natomiast do kolarskiej drużyny Israel-Premier Tech i jej sponsora. Zakończenie wyścigu Vuelta a España nie zamyka sprawy protestów. Od dłuższego czasu modą stało się zaczynanie wielkich tourów w innym kraju – nawet nasz Tour de Pologne, choć jeszcze nie taki wielki, startował kiedyś z Włoch. W tym roku Vuelta a España wyruszyła z Italii, zahaczyła o Francję i Andorę, zanim wjechała do Hiszpanii.

Rowerami przez Negev

W 2018 r. Sylvan Adams przeforsował rozpoczęcie Giro d’Italia w Izraelu. Dla miliardera nie ma nic trudnego, wszystko jest kwestią ceny. Oczywiście dorobiono do tego jakąś legendę, wspominano wielkiego włoskiego kolarza Gino Bartalego, który podczas II wojny światowej miał ratować Żydów, ale kontrowersje wzbudzała trasa imprezy częściowo przebiegająca przez pustynię Negev, gdzie znajdowały się osady palestyńskie masowo wyburzane przez izraelskie wojsko. W ogóle krytykowano pomysł rozegrania początkowych etapów Giro d’Italia w Izraelu, choć jeszcze daleko było do sytuacji, z którą obecnie mamy do czynienia. Sylvan Adams został w każdym razie udekorowany jakimś odznaczeniem przez premiera Izraela.

Trasy przyszłorocznych wielkich wyścigów kolarskich nie są jeszcze ustalone w szczegółach, ale ich zarys jest znany. Za sprawą Israel-Pro Tech dużo może się zmienić.

Vuelta a España w 2026 r. miała rozpoczynać się na Wyspach Kanaryjskich. To staje pod znakiem zapytania. Władze Wspólnoty Autonomicznej Gran Canaria zapowiedziały, że nie życzą sobie drużyny Israel-Pro Tech z pełną nazwą na koszulkach czy tylko z jej monogramem. Podobnego zdania są organizatorzy przyszłorocznej kilkuetapówki w Galicji O Gran Camiño (Wielka Droga).

Tu sprawa jest prostsza niż w Vuelcie. O Gran Camiño ma niższą kategorię UCI niż wyścig dookoła Hiszpanii i nie musi zapraszać drużyn startujących w World Tour UCI, a do nich należy Israel-Pro Tech. Każda drużyna z World Tour UCI ma obowiązek wystartowania w każdym wyścigu kategorii World Tour UCI. Nikt nie może odmówić startu ani nikomu nie wolno go odmówić.

Co powie Lang?

Podobnie wygląda sprawa z przyszłorocznym Tour de France, który rozpoczynać się ma w Barcelonie. Rada Miejska stolicy Katalonii zapowiedziała, że nie może zapewnić bezpieczeństwa imprezy, jeśli drużyna sponsorowana przez Sylvana Adamsa weźmie w niej udział.

Radny Barcelony David Escudé uściślił powody decyzji: „Chcemy, aby drużyny rywalizujące pod flagą Izraela przestały się ścigać pod tą flagą. Nie chodzi o kolarstwo, które jest sportem popularnym dla obywateli, ale świat nie może odwracać oczu od tego, co dzieje się w Strefie Gazy”.

Na razie inni organizatorzy czy potencjalni organizatorzy imprez kolarskich nie zabrali jeszcze głosu, ale trzeba spodziewać się podobnych opinii. A może wypowie się dyrektor Tour de Pologne Czesław Lang? W tym roku duża kraksa wystarczyła, żeby zneutralizować najważniejszy, „królewski” etap, bo zabrakło karetek do zabezpieczenia wyścigu. A co się stanie, jeśli po jednej stronie ulicy lub szosy manifestować będzie Młodzież Wszechpolska, a po drugiej – organizacje lewicowe? Jeśli nic się nie zmieni, Czesław Lang się nie wykręci. Będzie musiał zaprosić drużynę Israel-Premier Tech, a drużyna nie będzie miała prawa mu odmówić, bo jego wyścig też należy do World Tour UCI. Jestem przekonany, że

wykluczenie ze sportu zawodników rosyjskich i białoruskich, a ewentualne rozważanie dopiero, czy podobne reperkusje powinny spotkać Izraelczyków, nie powinno mieć miejsca.

Jeszcze zanim Rosja napadła na Ukrainę, ale już zaanektowała Krym, jej sportowcy nie mogli rywalizować pod trójkolorową flagą, a na najwyższym stopniu podium zamiast swojego hymnu słuchali wstępu do koncertu fortepianowego b-mol Piotra Czajkowskiego.

Za drobniejsze sprawy można spotkać się z nieprzyjemnościami. Reprezentacja Portugalii w judo nie mogła wystartować w mistrzostwach świata pod swoją flagą z powodu… zaległości finansowych macierzystej federacji wobec federacji międzynarodowej. Chodziło o 800 tys. euro. A nie o życie tysięcy ludzi.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 24.09.2025 r.

eprasa.pl 96305d9817

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Trzej spiskowcy mieli twarze ukryte w kominiarkach, lecz uważny obserwator polskiej sceny politycznej rozpoznałby przynajmniej jednego – po głosie i tuszy.

– Nie można tego uniknąć? – odezwał się właśnie ten spiskowiec, głosem i posturą przypominający Przemysława Czarnka.

Drugi ze spiskowców pokręcił głową. Trzeci zaś odpowiedział: – Teoretycznie można, tylko będzie to bardzo długo trwało.

– Ale co to właściwie znaczy „polityczny trup"? – dopytywał się człowiek, co do którego już się umówiliśmy, że nazywa się Czarnek.

– Ma tyle siły sprawczej, ile ma jeden zwykły poseł – odparł drugi.

– Ale żyje? – upewnił się Czarnek.

– Żyje, tylko co to za życie… – odpowiedział trzeci.

– Jak by to miało wyglądać?

Drugi rozłożył ręce. Trzeci nabrał powietrza w płuca i zaczął tłumaczyć: – Z pomocą zaprzyjaźnionych mediów odpalamy akcję ujawniania kompromitujących faktów z życia obiektu. Związki z Rosją, homoseksualizm, defraudacja na wielką skalę…

– Defraudacja? – zdumiał się Czarnek. – Nikt nie uwierzy.

– No to defraudację możemy odpuścić – zgodził się drugi.

– Odkrywamy, że obiekt jest pod opieką psychologa – wrócił do wyjaśnień trzeci.

– Phi, psychologa – skrzywił się Czarnek. – Co to za kompromat?

– No dobra, obiekt jest pod opieką psychiatry. Codziennie futruje się garściami psychotropów i neuroleptyków. Coraz częściej ma zwidy, omamy i halucynacje. Widzi wrogów tam, gdzie ich nie ma. Jest chorobliwie podejrzliwy, nieufny, otacza się ochroniarzami, mało kto ma do niego dostęp. Tak dalej być nie może.

– Ale zasługi! – zaprotestował Czarnek. – Ale sukcesy i wynikający z nich szacunek! Ale poważanie międzynarodowe! Ale uwielbienie elektoratu!

– Zasługi są najwyżej historyczne – odpowiedział trzeci – sukcesy dawno przebrzmiałe, a szacunek, poważanie i uwielbienie iluzoryczne.

– Obiekt jest politycznym trupem – podkreślił drugi. – Zmartwychwstania nie będzie!

– Muszę się zastanowić – westchnął Czarnek. – Dajcie mi kilka dni.

• • •

Wymknęli się z ciemnej uliczki. Zdjęli kominiarki. Jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie.

– Myślisz, że się zgodzi? – zapytał Przemysław Wipler.

– Jeśli się nie zgodzi, to tym gorzej dla niego – odpowiedział Sławomir Mentzen.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA turla się ze śmiechu. **JOANNA SENYSZYN**, jak przystało na profesorzycę, przygląda się jej z dezaprobatą.

Senyszyn: – No i czego rżysz?

Wołk-Łaniewska: – A widziałaś Trumpa w ONZ?

– Nie, ale słyszałam, że brutalnie zaatakował ONZ i Europę.

– Tak, i wiatraki, i Wenezuelę, i ślad karbonowy, i Bidena, ale to w ogóle nie było najważniejsze. To był autentycznie najśmieszniejszy występ, jaki widziałam w ostatnim czasie, oglądam sporo standupów. Przywódca Wolnego Świata zaczął od tego, że ONZ popsuł mu prompter, a schody ruchome się zatrzymały, co prawie zabiło jego żonę, po czym ponarzekał, że nie dostał Nobla…

– Za pokój między Aber-Bajżanem i Albanią?

– Szczególnie wielkie osiągnięcie.

– To może wyjaśnijmy Czytelnikom, którzy nie śledzą Ameryki z taką uwagą, o co chodzi. Otóż na niedawnym spotkaniu z brytyjskim premierem Trump ogłosił, że „pogodził Aber-Bajżan i Albanię", co stało się obiektem wielu kpin…

– Uczciwie trzeba przyznać, że nauka nie poszła w las i w ONZ już pamiętał, że chodzi o Azerbejdżan i Armenię. Co było tym większym osiągnięciem, że jest to już druga wojna Armenii, którą udało mu się zakończyć.

– Tak, słyszałam, że na uroczystej kolacji fundatorów American Cornerstone Institute parę dni wcześniej pochwalił się, że pogodził Armenię z Kambodżą. Strasznie bojowa ta Armenia.

– Prawda? Równa tylko Albanii. Od razu przypomina mi się genialny film z 1997 r. „Wag the dog" – po polsku to się nazywało „Fakty i akty" – w którym prezydent USA wywołuje fikcyjną wojnę z Albanią, żeby odwrócić uwagę opinii publicznej od faktu, że zerżnął dziewczynkę z wycieczki zuchów do Białego Domu. „A dlaczego Albania?" – pyta asystentka prezydenta. „A dlaczego nie?" – odpowiada spin doktor, który wpadł na ten genialny pomysł. „A co oni nam zrobili?" „A co zrobili dla nas?"…

– Albania ewidentnie zrobiła Ameryce coś złego, bo złośliwie nazywa się podobnie do Armenii i zmyliła prezydenta.

– Ale to nie koniec. Potem Donald ogłosił, że w Londynie „wprowadzają szariat", a jeszcze potem wdał się w bardzo długi monolog na temat tego, że kiedyś „wybitny, odnoszący wielkie sukcesy deweloper znany jako Donald J. Trump" złożył ofertę rekonstrukcji gmachu ONZ, ale go nie wybrali, choć obiecał zrobić marmurowe posadzki i ostrzegał, że konkurencja zrobi lastryko, on obiecał mahoniowe ściany, a tamci dali plastik i czy widzicie, że chodzicie po lastryko… Ten koleś jest już totalnym dementem z kompletnie niepowstrzymaną sraczką słowną.

– Syn Ronalda Reagana, Ron Jr – bardzo inteligentny, postępowy facet i nasz brat w niewierze – twierdzi, że tatuś wykazywał oznaki alzheimera w zasadzie od końca pierwszej kadencji. Ciekawe, czy Barron Trump też kiedyś wyrośnie na takiego prawdomównego młodzieńca.



Rys. TOMASZ WIĄTER

– Pomódlmy się do przenajświętszej panienki. Ale jeżeli chodzi o sraczkę słowną w okolicach ONZ, to muszę ci jeszcze opowiedzieć o szefie polskiej dyplomacji, który na konferencji prasowej ogłosił, że na jego liście spotkań jest „wyspiarskie państwo Trynidadu i Tobago" i dodał z wdziękiem: „ale też Iran i poważne kraje"… A potem – niepomny porady z Chandlera: „Nie bądź facetem, który szura krzesłem, żeby zatrzeć fakt, że pierdnął w towarzystwie" – zaczął tłumaczyć, że „każdy głos w zgromadzeniu ogólnym liczy się po równo".

– Tak często w życiu bywa, że jak się coś palnie, to potem – zamiast ciszej na tą trumną – brnie się dalej. Ale zmieniając temat: o edukacji zdrowotnej porozmawiajmy, bo to teraz gorący temat.

– Ależ proszę.

– Otóż ministra Nowacka w strachu, co zrobić z bezrobotnymi katechetami, poradziła, żeby się przekwalifikowali na nauczycieli edukacji zdrowotnej…

– Salomonowe rozwiązanie.

– Acz nieoryginalne. W okresie transformacji też któryś z liberalnych ministrów radził górnikom, żeby szli na kursy układania kwiatów. Ale wtedy nikt nie skorzystał, a teraz i owszem. I już są skutki. W jednej z gliwickich szkół katechetka naucza, że „u podstawy piramidy zdrowego żywienia jest Bóg".

– To znaczy pod warzywami i owocami? Czy między? Ja nie wiem, czy przestrzeń między szczawiem i rzeżuchą to jest godne miejsca dla Boga…

– I pewnie przewidując to bluźnierstwo mieszkańcy Wilanowa wystąpili o zmianę ulicy Rzeżuchowej na Rukoli. Wracając do edukacji: pamiętasz niejaką dr hab. Dudziak, profesorzycę KUL i za Czarnka ekspertkę MEN ds. wychowania do życia w rodzinie? Nauczała ona, że „mycie części intymnych to grzech i bezeceństwo", a „współżycie przed ślubem grozi poważnymi konsekwencjami, na przykład wyrzutami sumienia, gnębiącymi człowieka do śmierci".

– Przebijam cię Wandą E. Papis.

– A to kto?

– Autorka podręczników z lat 90. „Wzrastam w mądrości", 1993: „Plemniki należą do źródła życia u każdego mężczyzny. Znajduje się ono głównie na zewnątrz ciała w zakończeniu tułowia oraz częściowo wewnątrz ciała".

– Dr hab. Dudziak też ma coś do powiedzenia o plemnikach: „Plemniki chronią przed rakiem, antykoncepcja prowadzi do śmierci", a „u kobiety pozbawionej oddziaływania plemników na organizm, a więc stosującej prezerwatywę lub stosunek przerywany, 4,5-krotnie wzrasta ryzyko raka piersi".

– „Kobiety, stosujące antykoncepcję, narażając się na jej szkodliwe działanie, czują się pokrzywdzone i wykorzystane". A także „u małżeństw stosujących antykoncepcję często występuje brak czułości i wzajemnego podziwu".

– Dalej Papis?

– Nie, to akurat Marina Ombach, inna gwiazda przysposobienia do życia w rodzinie. „W poszukiwaniu prawdziwej miłości", 1994.

– Zobacz, tyle czasu minęło, a idea trwa. Dr Dudziak także nauczała, że „następstwem antykoncepcji są zdrady i rozwody". Miała też niebanalne spostrzeżenia dotyczące uwarunkowanych płcią istotnych różnic w zachowaniu nieletnich: „Jeśli poprosić chłopca o podniesienie pudełka, pochyli się, dziewczynka zaś ukucnie; żeby zapalić zapałkę, chłopiec potrze trzaskę od siebie, dziewczynka do siebie; podczas gaszenia chłopiec pomacha zapałką w powietrzu, dziewczynka ją zdmuchnie".

– A ja wiem, dlaczego tak jest!

– Dlaczego?

– Albowiem „u człowieka – tylko u niego – źródło życia jest zamknięte. Pieczęć ta znajduje się w ciele kobiety". I takie machanie mogłoby ją odpieczętować…

– Co innego dmuchanie.

– Pewnie dlatego prezydent Nawrocki nie pozwala córce chodzić na edukację zdrowotną: żeby nie kucała.

– Ale to o syna chodziło!

– No to tym bardziej. Lepiej, żeby się nie pochylał.

– Prezydent Nawrocki lękliwie robi to, co mu każe episkopat. Ten strach skądinąd łączy go z Trumpem: pierwszy boi się kleru, a drugi Izraela i jest wściekły, że Macron uznaje prawa Palestyńczyków do swojego państwa.

– Nawiasem mówiąc, szalenie mnie bawi pojawiająca się w mediach informacja, że Polska uznała Palestynę „dawno temu". To może sprecyzujmy: Palestynę uznała Polska Rzeczpospolita Ludowa. W 1976 r. w Warszawie powstało przedstawicielstwo Organizacji Wyzwolenia Palestyny, w 1982 przedstawicielstwo awansowało na ambasadę OWP, a w 1988 – na Ambasadę Palestyny. A teraz rzecznik Wroński się chwali, że „Polska może służyć przykładem, jeśli chodzi o uznanie niepodległości państwa palestyńskiego"…

– Podziękujcie Gierkowi i Jaruzelskiemu.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 96305d9817